

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. —8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. **W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.**

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura **UNGRA** w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. **Kraków, 18 czerwca 1910.** **Nr. 25.**

Znalezienie skarbów z Jasnej Góry.

(Treść na str. 2).



Znalezienie skarbów z Jasnej Góry.

(Do illustracyi tytułowej).

Pamiętna jest do dnia dzisiejszego straszna zbrodnia świętokradztwa, spełniona przed paru jeszcze miesiącami przez niewyśledzonych dotąd złoczyńców na Jasnej Górze, gdzie obrabowano cudowny obraz Najświętszej Maryi Panny z klejnotów, obraz ten zdobiących. Pamiętne jest też wrażenie, jakie wieść o tej niesłychanej zbrodni w całej Polsce i w całym świecie katolickim wywarła.

Śledztwo, jakie żandarmerya miejscowa i warszawska w tej sprawie podjęła, pozostało dotychczas niestety bez dodatnich wyników. Złoczyńcy bardzo sprytnie kradzież obmyślili i potrafili wszelkie po sobie ślady zatrzeć. Mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, a zbrodniarzy nie można było odszukać. Już dawno szkody. przez kradzież wyrządzone, naprawiono, obraz cudowny dostał nowe, przez Ojca świętego przysłane korony, a śledztwo nie wiele naprzód postąpiło.

Dopiero przed kilku dniami wpadnięto zupełnie przypadkowo na nowe ślady zbrodniarzy. Mianowicie bawiące się dzieci we wsi Brzeziny pod Dęblinem, znalazły w ziemi zawiniątko, w którem znajdowało się 141 pereł, część korony emaliowanej i dwa rubiny; wśród pereł jedna zwłaszcza odznacza się wielkością. Już ojciec dzieci, które zawiniątko znalazły, wpadł na domysł, że zawarte w niem klejnoty pochodzą z kradzieży na Jasnej Górze. Zaraz też za pośrednictwem pp. Ołdakowskich, właścicieli wspomnianej wsi, zawiadomił klasztor częstochowski o znalezieniu części skradzionego skarbu. Przypuszczenie okazało się zupełnie trafne.

Celem czynienia dalszych poszukiwań między wsią Ryki a Dęblinem, wyjechał w tę okolicę naczelnik wydziału śledczego p. Kowalik z paru ajentami. Prawdopodobnem bowiem wydaje się twierdzenie, że w tej stronie zakopane są i inne kosztowności, z tej kradzieży pochodzące. Wszak już raz znaleziono tam w stogu siana pod Dęblinem część sukienki obrazu, odartej z pereł. Widocznie więc złoczyńcy albo pochodzą z tej okolicy, albo tam wnet po dokonaniu kradzieży się ukrywali i w obawie rewizyi, kosztowności zrabowane ukryli w ziemi, sami zaś zbiegli za granicę.



Nowy rektor Wszechnicy Jagiellońskiej: prof. dr. August Witkowski.

Nowy król kurkowy.

Tradycyjna krakowska uroczystość intronizacyi króla kurkowego odbyła się w ubiegłą niedzielę na strzelnicy z wielką uroczystością i z zachowaniem nietylko dawnego ceremoniału, ale ze wznowioną okazałością i ciepłem. Zamiłowanie dawnych zabytków przeszłości i zwyczajów, krzewione i pielęgnowane coraz staranniej, wzmocnione staremi tradycyami i kulturą, zebrało w Towarzystwie strzeleckiem stare pamiątki i odnowiło zatracone stroje i zwyczaje.

Gdy koło godziny 6 strącił adwokat dr. Bronisław Guńkiewicz ostatni strzęp kura, otoczyli go członkowie w strojach galowych, składając życzenia. Prezes Tow. poseł dr. Staniszewski ogłosił wstąpienie na tron kurkowy dra Guńkiewicza przy strzałach z moździeży, a nowy król kurkowy odczytał z tronu orędzie, w którem zapowiada, że powołany na tron strzelecki, tradycyą setek lat uświęcony, będzie wiernie te „tradycye poprzedników swoich przechowywać i o dobro i pomnożenie pożytków strzeleckiego bractwa i miasta się starać i do skutku pomyślnego przeprowadzać. Czasy obecne nie żądają wprawdzie od nas obrony orężem, ale nie zwalniają od właściwego celu połączenia sił obywatelskich dla dobra ogółu. Nie łukiem i kuszą możemy dziś służyć miastu w obronie jego polskości, jego kultury, zabytków, pamiątek i zwyczajów, stanowiących jakby duszę i serce narodu. Miasto nasze uchodzi za duchową stolicę polskości i tej godności jej powinniśmy strzedz i bronić polskiego charakteru miasta. Tu powinniśmy się naradzać w pracy obywatelskiej na wszelkich polach, a pielęgnowanie dawnych zwyczajów strzeleckich i obchodów, pielęgnowanie miłości dawnych pamiątek i wspomnień, będzie łącznikiem z przeszłością, źródłem ożywczem do zachowania polskości i indywidualizmu naszej narodowości. Wkroczyliśmy w rok pięćsetny od owej wielkiej chwili dziejowej, gdzie skupione siły narodowe skruszyły pod Grunwaldem zastępy wdzierającego się w ojczyznę naszą wroga i oddaliły na długo niebezpieczeństwo z jego strony. Pamięć tego wielkiego wypadku dziejowego krzepi nas w nadziei, dodaje otuchy i daje wskazówkę, aby łącznie i zgodnie wystąpić w chwili poważnej. Z mocy Naszej władzy królewskiej za jednomyślną doradców naszego tronu zgodą, polecamy więc braciom kurkowym, aby w 500-tną rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem stawili się wszyscy bez wyjątku w szeregach obywatelstwa polskiego, na obchód, mający zadokumentować wdzięczność dla zwycięsców, cześć dla wal-



Nowy król kurkowy: Uczestnicy tradycyjnej uroczystości w towarzystwie strzeleckiem pod pomnikiem Sobieskiego w ogrodzie Strzelnicy.

cących i poległych, pamięć o przeszłości, a nadzieję w przyszłość".

Następnie w otoczeniu historycznie ubranej asysty, herolda, chorążego, halabardników i kuszników, obszedł nowy król kurkowy, który przywdział na ten obchód strój narodowy, prowadzony przez marszałków pp. Perosia i Bialika, z licznem gronem strzelców z rusznicami przy dźwiękach poloneza, dziedzinę swego panowania, tj. ogród strzelecki.

Wieczór odbyła się tradycyjna uczta strzelców w sali, udekorowanej starożytnemi pamiątkami strzelców krakowskich. Nowy król, przypominając swobody, któremi cieszą się Polacy w zaborze austryackim, wzniósł zdrowie cesarza, poczem nastąpił szereg tradycyjnych toastów na cześć króla kurkowego, marszałków, prezesa Towarzystwa itd., a wesołą zabawę urozmaicała orkiestra 13 pułku.



Suggestya na jawie: Kazimierz Zagórski.



Nowy król kurkowy: Z uroczystości strzeleckich. W pośrodku w stroju narodowym, z odznakami godności królewskiej, dr. Guńkiewicz; 1 prezes towarzystwa poseł dr. Staniszewski, 2. marszałek radca Peroś, 3. marszałek radca Bialik.

Suggestya na jawie.

Bezpośrednio po wykładach i próbach p. Radwana we Lwowie, który urządził tam kilka udatnych przedstawień z t. zw. suggestyą na jawie, zwrócił na siebie uwagę p. Kazimierz Zagórski, który okazał się nietylko dzielnym prelegentem w tej dziedzinie, ale i doskonale suggestyonującym, to też próby suggestyi na jawie, przez niego urządzone, wywołały bardzo znaczne zainteresowanie.

Ostatni publiczny wykład p. Zagórskiego wywołał dość żywą a zasadniczą polemikę w sprawie suggestyi. Rozpoczął ją prof. Lutosławski już na wykładzie, zaprotestowawszy wobec publiczności przeciw tego rodzaju przedstawieniom, twierdząc, iż suggestya powoduje osłabienie woli, a nam właśnie potrzeba jednostek o silnej woli. Ponieważ jednak zwolenników p. Zagórskiego było na sali więcej, niż zwolenników teoryi prof. Lutosławskiego, przeto ten ostatni opuścił z gronem osób salę, a wykład dobiegł już bez przeszkód do końca. Kwestyę szkodliwości suggestyi poruszyły jednak potem pisma lwowskie, z których część ostro potępiła propagatorów suggestyi i przyłączyła się do opinii prof. Lutosławskiego.

Wracając do wykładu i prób p. Zagórskiego, stwierdzić należy, iż próby te powiodły się zupełnie dobrze i były wcale interesujące. Prelegent wybrał z pośród obecnych kilka osób i czynił z niemi szereg doświadczeń. Dwa doświadczenia illustrują nasze ryciny. Na jednej widzimy, jak kilku młodych ludzi zanosi się od śmiechu, choć nie mieli do tego powodu, prócz suggestyi p. Zagórskiego, który wmówił w nich, że zaszło coś bardzo komicznego. Na drugiej znowu ci sami młodzi ludzie skrzywieni szukają za szyją lub we włosach pszczół, gdyż prelegent wmówił w nich, że opadły ich pszczoły, których oczywiście ani śladu nie było.

Takie i podobne tym doświadczenia udały się najzupełniej młodemu prelegentowi, to też licznie zebrana publiczność nagrodziła go hucznymi oklaskami.





Fot. Bahryuowicz i Stetkiewicz, Lwów.

Suggestya na jawie: Medya, śmiejące się bez powodu pod wpływem suggestyi.

Suggestya na jawie: Medya, opędzające się pod wpływem suggestyi pszczołom, których nie ma.

Turniej szermierczy szkół średnich.

Krakowski klub szermierzy przy krajowym Związku turystycznym, założony w marcu b. r., rozwija bardzo energiczną działalność w celu rozpowszechnienia u nas tego pięknego i zdrowego sportu, jakim jest bezsprzecznie szermierka, a że usiłowania tego sympatycznego towarzystwa nie idą na marne, dowodem jest turniej, urządzony w dniu 10 bm.

Sympatyczni młodzi szermierze walczyli z wielką werwą i umiejętnością. Jury, w skład której wchodzili członkowie klubu: dr. Bielawski przewodniczący, pp. Biederman i Czyżewski jako sędziowie oraz p. K. Winkler, fechtmistrz klubowy i kierownik kursu jako maitre d'assaut, przyznała pierwszą nagrodę, medal srebrny duży, A. Mikuckiemu, uczniowi VII kl. gim., drugą, medal srebrny mniejszy, Łukasikowi uczniowi V kl. gimn. a trzecią i czwartą, w postaci medalów bronzowych, Dąbrowskiemu, uczniowi V kl. i Zdybalskiemu, uczniowi VI kl. szkoły real. Reszcie współzawodników przyznano dyplomy honorowe.

W następnym dniu odbyła się w lokalu klubu przy ul. Wolskiej o godz. 8. wiecz. tzw. „akademia szermiercza“ (popis publiczny), w którym prócz uczestników ostatniego turnieju wzięło udział także kilku członków klubu. W niewielkiej lecz elegancko urządzonej i rzęsiście oświetlonej sali klubu zgromadziło się mnóstwo doborowej publiczności. Na dany znak weszła na salę pierwsza para walczących szermierzy, prowadzona przez maitra d'assaut p. Winklera. Wśród spotkań, których było kilkanaście na pałasze i florety, wyszczególniały się walki pp. A. Mikuckiego z Kuhnreichem, Dąbrowskiego z Łukasikiem oraz małego piątoklasisty Adasia Papéego z fechtmistrzem p. Winklerem na pałasze i tego ostatniego z sekretarzem klubu na florety. Prawdziwą atrakcyą popisu było assaut na florety p. Wład. Biedermana, członka klubu, z fechtmistrzem p. Winklerem. Nadzwyczajna wytworność w prowadzeniu klingi, elegancya i szybkość ruchów przy dużym temperamencie, cechującym tych dzielnych szermierzy, spowodowały prawdziwą burzę oklasków. Miłośnicy tego sportu podziwiali błyskotliwą grę eleganckich floretów, szybkie jak myśl ataki i jeszcze szybsze „riposty“ i „arety“. Po popisie rozdano zwycięscom z turnieju nagrody.



Rezygnaeya rady miejskiej w Serajewie: Grono członków rady z burmistrzem Kulowiczem.

Poszukiwanie zatopionej łodzi.

Jakieś nieszczęsne fatum zawisło — zda się — nad łodzią podwodną francuskiej marynarki „Pluviose“, która uległa nieszczęśliwemu wypadkowi i poszła wraz z swą załogą, przeszło 20 ludzi liczącą, na dno morskie, gdyż wszelkie usiłowania, zmierzające do uratowania nieszczęsnych marynarzy, poszły na marne, a nawet obecnie, gdy i tak wewnątrz łodzi trupy się tylko znajdują, nie można łodzi wydobyć na powierzchnię morza.

Od kilkunastu dni pracują marynarze i nurkowie francuscy w Calais, starając się usilnie dotrzeć do zatopionej łodzi, a następnie za pomocą silnych łańcuchów i dźwigni wydostać ją z głębin morskich. Usiłowania te jednak, jak dotąd, przeszły bez skutku. Naprzód, kiedy „Pluviose“ udało się po kilkunastu dniach wytężonej pracy, za pomocą łańcuchów przyholować do brzegu, uległa wypadkowi jedna z łodzi ratunkowych i stała się niezdolną do dalszego użytku, tak iż prace ratunkowe musiano przerwać. Następnie rwały się kilkakrotnie łańcuchy, co również całą akcyę opaźniało. Silne zaś prądy podwodne przeszkadzały nurkom w dotarciu do samej łodzi, tak iż nie zdołali oni nawet stwierdzić przyczyny katastrofy.

Mimo tych ciągłych i nieustannych przeszkód, praca około wydobycia łodzi „Pluviose“ nie ustaje ani na chwilę i można się spodziewać, że tymi dniami uda się ją pomyślnie zakończyć.

Rycina nasza przedstawia scenę w Calais, gdy dwaj nurkowie, odziani w specyalne ubrania, mają się zanurzyć w morze, celem dotarcia do „Pluviose“.

Nowy rektor Wszechnicy Jagiellońskiej.

W ubiegły wtorek dokonano na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie wyboru rektora na rok szkolny 1910/11. Został nim dr. August Witkowski, zwyczajny profesor fizyki.

Nowy rektor, urodzony 1854 r. w Brodach w Galicyi, kształcił się na politechnice lwowskiej, oraz na uniwersytetach we Lwowie, Berlinie i Glasgowie. Obdarzony niepospolitemi zdolnościami, zwrócił na siebie już w młodym wieku uwagę świata naukowego i po ogłoszeniu kilku prac z zakresu fizyki, został docentem, a następnie profesorem na politechnice lwowskiej. W r. 1888 powołany został dr. Witkowski na stanowisko profesora fizyki w uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie dotąd pracuje, stanowiąc z powodu swych wielkich zdolności i z powodu olbrzymiej wiedzy, prawdziwą ozdobę i chlubę prastarej naszej uczelni. Działalność naukowa prof. Witkowskiego, jego dzieła i rozprawy naukowe, ogłaszane w rozmaitych językach, zjednały mu sławę jednego z najwybitniejszych fizyków współczesnych.



Poszukiwanie zatopionej łodzi: Nurkowie, udający się w głąb morza, celem dotarcia do podwodnej łodzi „Pluviose“.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

6 (Ciąg dalszy).

— Ależ już całe ministeryum wie o wszystkiem, szefie! — zauważył Gourel.

— No idźcie już, idźcie, a proszę mi się dobrze zachowywać, panie Auguście.

Woźny posłusznie wyszedł, eskortowany przez dwóch inspektorów.

Wtedy Valenglay zawołał:

— Brawo, kochany panie Lenormand! Swietne to było i godne pana. Ale czy byłbyś pan łaskaw objaśnić mnie, jakim sposobem brałeś się do rzeczy?

— O, najprostszym w świecie! Wiedziałem, że Kesselbach zwrócił się do ajencyi Barbareuse i że Lupin przedstawił mu się rzekomo z ramienia tej ajencyi. Szukałem więc w tamtej stronie i odkryłem, że niedyskrecya ze szkodą Kesselbacha i Barbareuse, mogła być popełnioną tylko na korzyść niejakiego Hieronima, przyjaciela jednego z urzędników ajencyi.

— Jakim sposobem dowiedziałeś się pan o tem?

— To moja zawodowa tajemnica, panie prezydencie. W każdym razie, gdyby mi pan nie był nakazał przyspieszać biegu rzeczy, byłbym dotarł do Marca i dalej do Lupina, nie rozwiązując sakiewki.

— Mój drogi panie Lenormand, polityka ma swoje konieczności.

— Być może. Ale skoro całe ministeryum wie już o aresztowaniu Augusta — pan słyszał, co mówił Gourel — więc wszystkie dzienniki rozgłoszą to jutro rano. Lupin się ulotni, a i Marca nie dostaniemy.

— Na to jest tylko jeden sposób, kochany panie Lenormand.

— Jaki mianowicie, panie prezydencie?

— Przymknąć Marca jeszcze dziś.

— To niepodobna. Nie będę go mógł ująć aż jutro, albo pojutrze... gdy się na pocztę zgłosi.

— A jednak trzeba koniecznie.

— Och! panie prezydencie, popełniliśmy już jeden błąd, aresztując Hieronima; niech mnie pan nie zmusza do popełniania dalszych.

— Kiedy to jest konieczne. Trzeba, ażeby jutro aresztowanie Hieronima i Marca, dwóch wspólników Lupina w sprawie Kesselbacha, stało się oficyalnie wiadomem.

— Ha, trudno! panie prezydencie. Dziś wieczór przed północą Marco będzie uwięziony.

Valenglay nie ukrywał zdumienia.

— Jakżeż to? więc pan wiesz prawdziwe jego imię?... i wiesz, gdzie on mieszka?

— Wiem.

— Ej, do licha! A jakim sposobem?

— Dowie się pan tego później — później, panie prezydencie!

III.

Mała restauracyjka w ulicy Demours, prawie na rogu ulicy Bayen. Wewnątrz, siedząc przy stoliku. najbliższym oszklonej ściany, stary jegomość w oliwkowym surducie i w okularach kończy obiad.

Obok niego zasłona u okna jest nieco odchylona, on zaś od czasu do czasu spogląda na dom narożny po drugiej stronie ulicy. Jest to dom czynszowy, okazały, a otwarta zajezdna brama pozwala zajrzeć na podwórze, słabo oświetlone światłem, płynącem z okien mieszkań.

Zegar restauracyi wskazuje dziewiątą. Upływa jeszcze dziesięć, jeszcze dwadzieścia minut. Ale o wpół do dziesiątej ktoś wchodzi i zasiada naprzeciw starego pana.

— Już, panie szefie.

— No i co?

— Nic.

— Opowiadaj... opowiadaj od samego początku.

— Otóż najpierw posłałem na rue Milton pod inicyałami T. L. B. N. telegram w tych słowach: „Przyjdę dziś wieczór o dziesiątej. Hieronim“.

— Więc i cóż, Marco nie przyszedł?

— Nie. Od szóstej do dziewiątej nie opuściłem biura pocztowego. Uprzedziłem naczelnika i siedziałem za okienkiem pomiędzy urzędnikami.

— I nikt nie przyszedł, nie zgłosił się na pocztę?

— Nikt.

— Powiem ci, że to mnie wcale nie dziwi, gdyż Marco od drugiej siedzi u siebie w domu.

— Ach, szefie i każe mi pan mówić... Gdzież więc on jest?

— Przyjrzyj się bramie wchodowej naprzeciw. Za lożą portyera są drzwi... to są drzwi mieszkania parterowego.

— Widzę.

— On tam wszedł.

— Ale skąd pan wie, że to on?

— Z opisu, który podał Chapman i inni ludzie w Palace-Hotel.

— To on tam na parterze mieszka?

— Tak jest. Okna wychodzą na ulicę... Te cztery okna, które widzisz... jedno jest oświetlone.

— Ale czy tylko pan pewien, że to jest jego mieszkanie? i kto to panu powiedział?

— Za wiele mówisz, Gourel... nie spuszczaj z oczu ulicy... przechyl się, jeżeli potrzeba...

— Ale gospodarz tego lokalu?...

— Niema się czego bać. Uprzedziłem go.

Zresztą sala o tej godzinie już się opróżniła. Oprócz Lenormanda i Gourel'a jeden tylko jakiś jegomość palił fajkę przy sąsiednim stoliku.

Po ulicy z rzadka snuli się przechodnie, a światło latarni gazowej żywo oświecało ich twarze.

— Widzisz dobrze, Gourel?

— Widzę bardzo dobrze. Nikt nie może wyjść, ani wejść, żebym go nie zobaczył.

Nagle skoczył i twarz do samej szyby przycisnął.

— Nie! to nie do uwierzenia, szefie!

— Cóż takiego?

— Ależ tak... tak... ręczę, że tak!

— Ręczżeż sobie, głupcze! I cóż ty tam widzisz?

— To Lupin!

— Nieprawda!

Teraz on z kolei rzucił się ku szybie. Wzdłuż trotuaru naprzeciwko szedł mężczyzna. Doszedł do oświetlonej witryny apteki i wszedł.

— Lupin... Lupin... — powtarzał Gourel wzruszony.

Przez kilka minut można było widzieć tamtego w aptece. Rozwinął jakiś papier, receptę prawdopodobnie i dawał aptekarzowi jakieś długie i szczegółowe zlecenia.

Potem wyszedł, wszedł w bramę, zawrócił ku małym drzwiom, wyjął z kieszeni pęk kluczy i zniknął.

Gourel powtórzył:

— To Lupin... poznaję go.

— Czy jesteś pewien?

— Nie mylę się... Dałbym sobie rękę uciąć.

Lenormand także wydawał się bardzo wzruszony. Powtarzał z cicha:

— Lupin!... a więc to on, Lupin... to on!

— Panie szefie, a więc i pana to podnieca, że go pan widzi!... O, ten, to potężny wróg!... Często mi o nim mówił pan Ganimard, zanim poszedł na emeryturę... On mówił, że jemu to nie można dać rady. Ale ja, tobym się założył, panie szefie, że pan...

Lenormand milczał, zapatrzony w próżnię, zamyślony, jak gdyby rozważał szczegóły przyszłej walki i jak gdyby ważył sprzyjające i niesprzyjające szanse tego nagłego a nieprzewidzianego spotkania.

— Pójdźmy — odezwał się wreszcie ku wielkiej uciesze Gourela.

Wyjął swój bilet.

— Idź, zanieś to do komisaryatu przy ulicy Demourg. To tylko trzysta kroków stąd.

— Ale komisarza tam już nie będzie.

— Będzie na pewne. Uprzedziłem go. Niech przychodzi niezwłocznie, nie tracąc sekundy czasu, ze wszystkimi swymi ludźmi. Potrzeba mi dziesięciu... dwunastu, jeżeli można...

— Panie szefie, ale my chyba nie będziemy zdobywali domu gwałtem?... O tej godzinie w nocy, to rzecz poważna...

— Mam wszelkie prawo, Gourel... Valenglay mnie pokrywa. To energiczny pan ten Valenglay... On się nie lęka trochę arbitralnych kroków... byle się tylko powiodły. Leć więc.

W dziesięć minut Gourel był już z powrotem, prowadząc komisarza, pana Arnould.

— Dzień dobry, panie Arnould. A gdzież są pańscy ludzie?

— Rozstawieni na ulicy.

— Ilu ich jest?

— Ośmiu.

— To mało.

— Dwóch musiałem odłączyć dla innej sprawy, a dwóch trzeba było zostawić w komisaryacie.

— To bieda... to bieda... — mruczał szef bezpieczeństwa — ośmiu ludzi tylko!...

— Tak, ale ośmiu dzielnych chłopów... i my trzej, to jedenastu...

— Niechaj będzie. Dwóch z nich pozostanie w bramie.

— Przed małemi drzwiami parteru?

— Nie, przed drzwiami loży odźwiernego. Nie dziwiłbym się, gdyby loża komunikowała się z mieszkaniem parterowem.

— Czyżby odźwierny miał być wspólnikiem?

— Wszystko należy przewidzieć. Dobrze. A teraz dwóch ajentów pod okna mieszkania. Z czterema pozostałymi my sami wejdziemy.

— Wejdziemy... wejdziemy... jeżeli nam zechcą otworzyć.

— Wejdziemy, choćby nam nie chcieli otworzyć.

— Ślusarz byłby potrzebny.

— Mam ślusarza. Oto ten właśnie jegomość, który tam siedzi i pali fajeczkę. Hej tam! Jesteście gotowi?

Należało działać szybko i bez wahania. Podczas gdy komisarz dawał instrukcye ajentom, szef wstąpił do apteki. Po chwili wyszedł stamtąd. Lekki gwizd i wszyscy weszli w bramę.

Gourel i jeden z ajentów podeszli do loży.

— Dwóch ludzi przed schody od kuchni — rozkazał Lenormand. — Wy dwaj przed okna z ulicy... a gdyby kto chciał uciekać, strzelać do niego... Idźcie, broń w garść!

I przeszedłszy trzy schodki, prowadzące do drzwi, zadzwonił. Echo dzwonka zamarło w głębokiem milczeniu.

— Co u dyabła! — szepnął komisarz — pierwszy raz w życiu tak mi serce bije. Lupin może być dumny...

— Pst... — szepnął szef — ktoś słucha za drzwiami.

Zadzwonił znowu i powiedział głośno:

— Cóż to? Niema nikogo? Przychodzę z apteki.

I dodał między zębami, ale tak, by go słyszano:

— Co oni tu zawsze za ceremonie wyprawiają w tej budzie!

Cicho, pomału mosiężna kratka małego okienka opuściła się i ukazała się głowa starej kobiety. Niemym ruchem rąk Lenormand usunął swoich towarzyszów. Z mieszkania odezwał się martwy głos starej kobiety:

— A co tam znowu?

— Z apteki... recepta na lekarstwo, które pan obstalował... nie mamy tego preparatu kreozotowego... Czy mamy dać inny preparat?... Czy też może zaczekać do jutra?

— Proszę pokazać receptę.

— Proszę — rzekł szef, wyciągając ćwiartkę papieru.

Zadzwonił łańcuch odpinany i odchylono drzwi.

— Za mną! — krzyknął szef.

Jednem pchnięciem przewrócił starą babę, która zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Świeca, którą trzymała, upadła na ziemię. Zapanowały ciemności, a z oświetlonego przedpokoju dolatywał gwar głosów. Przesunęła się jakaś sylwetka. Widocznie jednak zgaszono gaz, gdyż i tam dalej zaległa ciemność. Wtedy Lenormand i jego towarzysze wyciągnęli latarki elektryczne i pobiegli do pokoju z którego wpierw dolatywały głosy. Pokój był pusty.

— Ten bufet, Arnould! — wołał Lenormand — oni go przesuwali... Patrzcie, tu jest zasłona... podnieście ją!

Ale za ścianą posłyszeli krzyki, bijatykę i łoskot łamanych mebli. Równocześnie szef odsłonił bardzo niskie drzwi.

— Dobrze mówiłem, jest komunikacya z lożą... tam się biją, nie sposób otworzyć!... Spiesz się Arnould, obejdź przez przedpokój!

Ujrzawszy gruby rygiel, zasunął go tak, ażeby nie można wrócić z loży do pokoju. Następnie spiesznie z trzema ajentami zrewidował mieszkanie.

— Wy dwaj wracajcie do przedpokoju... widziałem drzwi jakiegoś pokoju... Wejdźcie i przeglądnijcie pokoje z korytarza służbowego. Ty pójdź ze mną.

Wszedł do drugiego pokoju od frontu, wielkiego, skąpo umeblowanego salonu.

— Niema nikogo — mruknął — oni obaj zapewne czmychnęli przez lożę.

Trochę niespokojny już miał wyjść, gdy towarzyszący mu ajent rzekł:

— Panie szefie, na dywanie niedopałek cygara; żarzy się jeszcze... musieli przejść tędy.

Wskazówka była wyraźna. Wszystkie pokoje łączyły się ze sobą. Gdy jednakże Lenormand spróbował otworzyć pierwsze drzwi, okazało się, że drzwi były zamknięte na klucz.

— Ej, dyabli nadali! — zaklął — nie posuwamy się naprzód!

Nagle dał się słyszeć huk wystrzału.

Lenormand skoczył do przedpokoju. Zawahał się, nie wiedząc, w którym kierunku biedz.

Dwaj ajenci nadbiegli korytarzem służbowym.

— Strzał padł — rzekł szef.

— Tak... ale nie wiemy, gdzie...

— Było was trzech... Wasz towarzysz...

— Donadieu! on tu był...

Lecz nagle posłyszano drugi wystrzał. Odgłos szedł z korytarza, nie było wątpliwości. Rzucili się

w tę stronę. W tej chwili w cieniu jednego z pokoi wyszedł ktoś, jęczący z bólu. Był to ajent, trzeci ajent, Doвadieu. Gwałtownem pchnięciem otwarł drzwi.

— Gałgan! Ale ma za swoje! strzaskałem mu gębę!

Sam cisnął do twarzy chustkę, zbroczoną krwią i kurczył się z bólu.

— Idź, daj się opatrzyć — rzekł Lenormand, walcząc uparcie z klamką — na dole jest apteka... ależ u licha zamek zepsuty, czy co?

Klamka się obracała i obracała, nic jednakże nie chwytało.

— Ślusarza- — zawołał — jest na dole, w bramie... prędko, u czarta!

W tej chwili nadbiegł Gourel.

— Mamy go szefie, mamy jednego!

— Którego z nich?

— Marca.

— Et! co mi tam Marco! Ja mam drugiego.

— Kogo szefie?

— Lupina. Jest tam w tym pokoju, ranny.

— Ależ okna! okna!

— Niema obawy. Okna muszą wychodzić na wewnętrzne podwórko.

— Tak, ale Lupin?...

— Słuchaj... Czy słyszysz go?

Słychać było istotnie głuche stękanie i urywane skargi.

— Ach, Gourel, mówię ci, mamy go..., tym razem go mamy!

Ślusarz nadbiegł w tej chwili. Obznajomiony z tym systemem klamek, otworzył drzwi bez zwłoki. Lenormand wszedł jednym susem. W świetle latarni ujrzał na ziemi leżącego, nieruchomego człowieka. Rzucił się na niego, obmacał go, przyłożył mu ucho do piersi.

— Żyje! Mamy go żywego! Nareszcie mamy Lupina!

— To dobry dzień dla nas — zawołał Gourel. — Trzej wspólnicy Lupina, odźwierny i jego żona i sam Lupin... Sześcioro w jednej sieci!

— Siedmioro — oznajmił, wchodząc, komisarz. — jest tam jeszcze jeden chory, znaleźliśmy go w łóżku.

Zaprowadził Lenormanda do pokoju obok salonu, do tego pokoju, do którego szef przez drzwi od salonu nie mógł się dostać. I rzeczywiście leżał tam w łóżku człowiek, blondyn, przerażająco chudy, sino-blady na twarzy, z silnie podkrążonemi oczyma. Obok łóżka na stoliczku stały lekarstwa, buteleczki, słoiki z proszkami. W powietrzu unosił się zapach szpitalny.

— Czy on żyje? — zapytał szef.

— Żyje, ale nie wiele mu brakuje...

— Czy ranny?

— Nie. Ale ma gorączkę... Oto proszę posłuchać, mówi w malignie...

Istotnie chory bełkotał jakieś niezrozumiałe wyrazy. A potem westchnął głęboko i zapadł w sen. Na szaragach wisiało jakieś ubranie — ubranie zniszczone, zabrudzone, miejscami podarte.

— Przeszukaj to Gourel — rzekł szef.

Kieszenie były puste. Ani portfelu, ani papierów.

— Nic nie znalazłem — rzekł Gourel.

— A pod podszewką?

— I tam nic niema.

— Na kurtce niema znaków?

— Niema żadnych. Ach, oto numer, napisany atramentem na kawałku płótna, wszytym pod kołnierz.

— Jaki numer?

— 813.

IV.

W loży trzech ajentów pilnowało Marca, którego prócz tego silnie skrępowano... Na łóżku ułożono Arsena Lupina. Sławny awanturnik, uderzony w głowę lufą rewolweru, nie odzyskał jeszcze przytomności. W tylnym pokoiku, który służył zarazem za kuchnię i za sypialnię, uwięziono odźwiernych i starą służącą.

— Panie Arnould — rozkazał Lenormand komisarzowi — niech pan będzie łaskaw zatelefonować do biura policyi. I niech pan wróci z dwiema dorożkami. Przewieziemy tych łotrów na *Depôt*.

Zaraz też zaczął ogólnikowo badać odźwiernych i przekonał się, że byli to tylko nieświadomi wspólnicy Marca. Wiedzieli naturalnie o przejściu, łączącem mieszkanie parterowe z ich lożą, sami bowiem na zrobienie go przystali, ale mniemali, że Marco to wyjście rezerwował sobie dla ucieczki przed dłużnikami. O starej służącej i Marcu niewiele szef się dowiedział. Marco mieszkał w tem mieszkaniu od lat sześciu pod nazwiskiem Marka Dalis. Mało go widywano w domu. Co rano wychodził, a wracał dopiero wieczorem. Gdzie zaś dni spędzał?... Lenormaud nie zadał sobie nawet trudu wybadywania go. Zapytał go tylko:

— Jedno słowo... Kto jest ten człowiek chory, którego pielęgnujecie tu w domu? Czy chcesz mi odpowiadać?

— Chcę.

— Więc kto to jest?

— Ja nie wiem.

Zdawało się, że w gruncie rzeczy to jedno tylko obchodziło Lenormanda. Trzy razy już od początku tego dramatu ta cyfra 813 nasunęła mu się przed oczy — na karteczce, którą podniósł w pokoju Palace Hotel, tam gdzie upadła tajemnicza



Na krzesełku, zgięty w pół, z głową opartą o kolana, Gourel spał...

papierośnica, na hebanowej szkatułce, którą Lupin odesłał poczta i wreszcie na tym kawałku płótna, przyszytym do kurtki chorego. Może być, że to prosty zbieg okoliczności; ale znaczący powrót tej samej cyfry zwracał uwagę, dawał do myślenia. Co mogły znaczyć te trzy numery? Czy to jakieś hasło tajemnicze? Czy klucz jakiejś mowy umówionej? W każdym razie faktem pewnym, namacalnym była obecność tego chorego w mieszkaniu Marca. Co on tu robił? Czy był wspólnikiem, czy więźniem? Lenormand przeszedł do pokoju chorego. Lekarz z sąsiedztwa, którego coprędzej sprowadzono, badał go właśnie.

— I cóż pan o nim sądzi, panie doktorze? — zapytał szef.

— To samo, co od dwóch dni!

— Od dwóch dni?

— A jakże! Przedwczoraj mój sąsiad, pan Marek Dalis przysłał po mnie, ażeby mi powierzyć kuracyę jednego ze swoich przyjaciół, który, jak mówił, przybył do niego tegoż dnia rano. Trzeci już raz zatem go odwiedzam.

— A więc to jest pańska recepta, doktorze?

— Tak jest, ja ją pisałem.

— I ten pan Marek Dalis bywał obecnym przy pańskich wizytach?

— Tak, on i jeszcze jeden pan.

— I oni obaj zdawali się bardzo przejmować zdrowiem chorego?

— W najwyższym stopniu. Błagali mnie, bym robił wszystko, co w mojej mocy, byle go uratować.

— Czy zatem stan jego jest niebezpieczny?

— Tak i nie. Ma posuniętą chorobę sercową i płuca w stanie opłakanym. Należy się obawiać nagłej katastrofy, ale nie jest wykluczonem, że może pociągnąć jeszcze kilka tygodni, a nawet kto wie? może się i wygrzebać. Zbawienną dla niego byłaby zmiana powietrza... góry... a zwłaszcza zmiana trybu życia, zdala od Paryża... spokój.

— Więc on w Paryżu mieszka?

— Tak... i prowadzi tu życie hulaszcze, oddając się rozpuście i trunkom. Pan Dalis mi mówił, że odnalazł go w stanie nieprzytomnym w jednej z najgorszych nor przedmieśbia Villette.

Lenormand zadrżał, uderzony nagłą myślą i pytał dalej:

— Czy nic pan o nim więcej nie wie, doktorze?

— Nic więcej.

— Czy chory nie miał sposobności mówić z panem w cztery oczy?

— Nie. A zresztą byłyby to tylko majaczenia gorączkowe. Gorączka była zbyt wysoka. Dopiero dziś wieczorem gorączka zaczyna spadać.

— A przenieśćby go nie można?

— Lepiej zaczekać. Powrócę tu jutro rano i zobaczymy, ale w każdym razie proszę go nie zostawiać samego.

— Ależ nie, nie, niech się pan nie obawia, doktorze. Dziękuję panu bardzo.

Lenormand bardzo grzecznie odprowadził doktora, poczem z pośpiechem wrócił do chorego, co prędzej wyciągnął z pod kołdry lewą jego rękę i pochylił się nad nią.

— Ej do licha! toż to on!

— Kto taki? — zapytał Gourel.

— Piotr Leduc!

— Ten człowiek, którego p. Kesselbach poszukiwał przy pomocy ajencyi Barbereuse?

— Ten właśnie! Końca małego palca u lewej ręki brak... i patrz... widzisz tę bliznę, prawie nieznaczną, na prawym policzku?

— Jakżesz pan to tłómaczy panie szefie?

— Jak? Bardzo prosto. Lupin wiedział o tych poszukiwaniach, więc zaczął szukać na własną rękę, znalazł go i chcąc być zupełnie spokojnym, zabrał sobie tego jegomościa dla własnej korzyści.

— A więc on go zna? On wie, kto to?

— Może i nie wie. Przypuszczam, że pan Kesselbach zataił przyczynę, dla której z takim uporem szukał Piotra Leduc; a w takim razie Lupin wie tylko tyle, ile my wiemy, że mianowicie ten Leduc istnieje, że z jego osobą wiąże się jakaś ważna sprawa; a może także wie o istnieniu tej cyfry 813, która wciąż powraca i zdaje się grać ważną rolę w całej tej przygodzie.

Pochylił się nad chorym i przyglądał mu się z namiętną ciekawością, z gorącą nadzieją, że odkryje na tej bladej, wychudzonej twarzy tajemnice niezbadanej przeszłości. Skąd się wziął ten człowiek? Jaka rasa go wydała? Jaką mową mówił? Chory, spokojniejszy teraz, spał. Regularnym ruchem wznosiły się i opadały piersi. Twarz, choć zniszczona i znużona, miała szlachetność linii. Lenormand szepnął cichutko, jak gdyby mu chciał podsunąć konieczność odpowiedzi:

— 813... Co znaczą te trzy liczby? 813...

Tamten wciąż patrzył na niego wzrokiem błędnym, nieprzytomnym. Za każdym jednak razem, gdy wymawiał cyfrę, zdawało się p. Lenormand, że następuje jakieś przebudzenie w świadomości chorego, że czyni on jakieś wysiłki przejściowe a bolesne.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przemysł krajowy w wozie.

Od kilku lat urządza Liga pomocy przemysłowej objazdy po całej Galicyi z ruchomą wystawą wyrobów przemysłu krajowego. Zna też tę wystawę dobrze cała prowincya galicyjska.



Fot. M. Münz, Lwów.

Przemysł krajowy w wozie: Poświęcenie transportowego wozu Ligi pomocy przemysłowej.

Rola, jaką ruchoma wystawa w dziejach uprzemysłowienia Galicyi odgrywa, jest bardzo donośna. Zwiedza ją corocznie około 100.000 osób, zapoznając się ze stanem przemysłu rodzimego i czerpiąc tam zachętę do zaopatrywania się w swojskie wyroby.

Obecnie postarała się Liga pomocy przemysłowej o ogromny, wspaniały wóz transportowy, w którym mieścić się będzie cała ruchoma wystawa i z którym będzie można urządzać objazdy nietylko po miastach lecz i po wsiach. Wóz wspomniany wykonano wedle projektu dyrektora Olszewskiego w lwowskiej pracowni M. Lickendorfa, kosztem niespełna 3000 kor. Długość wozu wynosi 6·60 m., szerokość 2·40 m., a wysokość 3·20 m. Wewnątrz są półki, stoły składane, dalej dekoracye i przybory do urządzania postojów, wreszcie przybory do przedstawień obrazów świetlnych, urozmaicających wykłady prelegentów Ligi. Wóz transportowy wtaczać się będzie na kolejowe wozy platformowe i w ten sposób przewozić po Galicyi.

Udział w wystawie ruchomej brało ostatnio 66 firm, obecnie będzie można ilość tę pomnożyć, tak samo wzrośnie ilość postojów z powodu łatwiejszego i znacznie uproszczonego transportu.

W ubiegłym tygodniu odbyło się uroczyste poświęcenie nowego wozu Ligi pomocy przemysłowej, w obecności wydziału Ligi, grona radnych i osób, interesujących się rozwojem przemysłu. Aktu poświęcenia dokonał jeden z księży zakonu OO. Bernardynów, poczem przemówili dyrektor Terenkoczy i radny Neuman.

W najbliższych dniach rozpocznie wóz transportowy swą służbę, której wyniki oby były jak najlepsze.



Gody weselne w rodzie Radziwiłłów: Młoda para, ks. Izabella i ks. Karol Radziwiłłowie.

Ustąpienie Dernburga.

Ostatni reprezentant ery Bülowa ustąpił w Niemczech z widowni politycznej, przechodząc w tak zwany „dobrze zasłużony“ stan spoczynku. O przyczynach ustąpienia szeroko rozpisują się niemieckie dzienniki. Jak wiadomo, konflikt Dernburga z stronnictwem centrum, zmusił był Bülowa do rozwiązania parlamentu i zainaugurowania liberalno-konserwatywnej polityki blokowej. Wprawdzie starał się Dernburg wszelkiemi siłami, o nawiązanie napowrót przyjacielskich stosunków z centrowcami, w rzeczywistości jednak stronnictwo to nie mogło



Ustąpienie Dernburga: Dymisyonowany niemiecki minister kolonii, dr. Dernburg.

mu zapomnieć ciężkich trosk, jakie przez niego w chwili rozwiązania parlamentu przeżyło, ani antiklerykalnego ruchu, wywołanego wówczas w całych Niemczech. Przed kilku miesiącami rozpoczęła przeciw niemu kampanię prasa klerykalna a w parlamencie wystąpił energicznie poseł Erzberger.

Dernburg, jako ulubieniec Bülowa, nie był również miłym i konserwatystom, przyłączyli się też skrapliwie do jego wrogów i wzięli udział w walce zaczepnej. Na razie potrafił jednak zażegnać grożące niebezpieczeństwo.

Przeciwnicy skorzystali przedewszystkiem z jego błędów, jakie popełnił w polityce kolonialnej. Wytykano mu dotkliwie rozporządzenia o eksploatacyi pól dyamentowych w południowej Afryce, faworyzowanie towarzystwa berlińskiego na szkodę kolonistów i wiele innych fałszywych kroków, które oburzyły nawet partyę liberalną. Do ogólnej walki przeciw znienawidzonemu ministrowi przyłączyli się



Gody weselne w rodzie Radziwiłłów: Grono gości weselnych; na prawo ks. Ferdynand Radziwiłł (×), prezes Koła polskiego w Berlinie.

i właśni jego urzędnicy, którym od samego początku niemiłym był jako intruz w świecie biurokratycznym. Ponieważ zaś od chwili objęcia rządów przez Bethmanna-Hollwega wpływy biurokracyi w Niemczech znacznie się wzmogły, wzmogło się też i naprężenie między biurokracyą a Dernburgiem, którego wreszcie padł ofiarą.



Gody weselne w rodzie Radziwiłłów: Arcyksiężna Marya Teresa z Żywca z dwoma córkami; obok delegat radca dworu dr. Fedorowicz.

Ustępuje, nie żałowany przez nikogo, nawet przez własnych stronników, a ból, jaki mu zadano, mają osłodzić brylanty do orderu Czarnego Orła, które na pożegnanie nadał mu cesarz Wilhelm w uznaniu „ciężkiej i wydatnej“ pracy.

Gody weselne w rodzie Radziwiłłów.

W ubiegłym tygodniu odbyły się uroczyste zaślubiny księżniczki Izabelli Radziwiłłównej, najmłodszej córki księcia Dominika z Balic i Maryi Dolores z Agramonte, z księciem Karolem Radziwiłłem, synem księcia Jerzego z Nieświeża i Maryi z hr. Branickich. Związek małżeński, zawarty między młodemi latoroślami dwu gałęzi tak starego i tak wielce zasłużonego magnackiego rodu polskiego, stał się, zwłaszcza w kołach arystokracyi, wypadkiem pierwszorzędnego znaczenia, a obrzęd zaślubin, z wielką okazałością odbyty, zgromadził w gościnnym pałacu księstwa Dominików w Balicach bardzo liczny zastęp osobistości z najwyższych sfer społeczeństwa polskiego.

Uroczystości weselne rozpoczęły się właściwie już na dwa dni przed ślubem; rozpoczął je raut u hr. Stanisławowstwa Tarnowskich na Szlaku, gdzie prócz najbliższej rodziny państwa młodych zebrało się około 200 osób.

Następnego dnia odbył się w parku w Balicach „garden-party“, w czasie którego państwo młodzi przyjmowali życzenia urzędników zarządu dóbr, oficyalistów, służby i wieśniaków. Równocześnie zebrani w Balicach goście oglądali wspaniałe podarki, nadesłane dla państwa młodych, a wystawione w galeryi pałacu. Wśród podarków tych niektóre przedstawiały nietylko ogromną wartość materyalną, ale i artystyczną lub historyczną. I tak arcyksiężna Marya Teresa z Żywca ofiarowała pannie młodej wachlarz z białych koronek, arcyksiążę Karol Stefan parasolkę z rączką, wysadzaną kamieniami, arcyksiężna Eleonora serwis do herbaty, arcyksiężna Matylda zegarek srebrny na biurko, hrabina Marya Branicka, babka pana młodego, podwójny naszyjnik z wisiorami ze starych dyamentów, księżna Antoniowa Radziwiłłowa, babka pana młodego, toaletę *en vermeil* w stylu Ludwika XV., księstwo Dominikowie Radziwiłłowie sznur pereł, sobole, koronki i wachlarz staroświecki, ks. Hieronimowie Radziwiłłowie brylantowy dyadem, ks. Jerzowie Radziwiłłowie wisior z szafirami, pierścień z rubinami, branzoletę z brylantów i rubinów itd. itd.

Wieczór, w przeddzień ślubu, odbył się w saskim hotelu obiad, dany dla gości weselnych przez hr. Władysławowstwo Branickich.

W czwartek, około 9 rano ruszył z Balic do Krakowa długi orszak weselny i o w pół do 11 stanął przed kościołem Maryackim. Wejście do kościoła przybrano pięknie zielenią i kwiatami; nad drzwiami zwieszały się ogromne festony z młodych liści i gałęzi szpilkowych, wokoło drzwi ustawiono młode jodełki, a na chodniku przed bramą kościelną ułożono dywan.

Zajeżdżały jeden po drugim powozy i samochody, przywożąc gości weselnych. Wśród obecnych była też arcyksiężna Marya Teresa z dwoma córkami. Przyjazd panny młodej poprzedziła dziarska banderya Krakusów ze sztandarem o barwach narodowych; banderya liczyła kilkudziesięciu jeźdźców, przybranych w amarantowe krakuski z pawiemi piórami i białe sukmany z czerwonemi potrzebami. Prowadził banderyę p. Bogacki.

Jak wielkie zainteresowanie wywołał ślub ks. Radziwiłłów w samym Krakowie, wśród jego mieszkańców, dowodem były tłumy publiczności, które nie mogąc pomieścić się w kościele Maryackim, gdzie odbywał się akt zaślubin, zapełniły wielką część rynku. Policyi i straży pożarnej udało się tylko z wielkim wysiłkiem utrzymać wśród zebranych tłumów jaki taki porządek.



Gody weselne w rodzie Radziwiłłów: Goście weselni przed kościołem Maryackim.

Parę młodą pobłogosławił ks. infułat Krzemiński, który pannie młodej w swoim czasie udzielił sakramentu chrztu św.

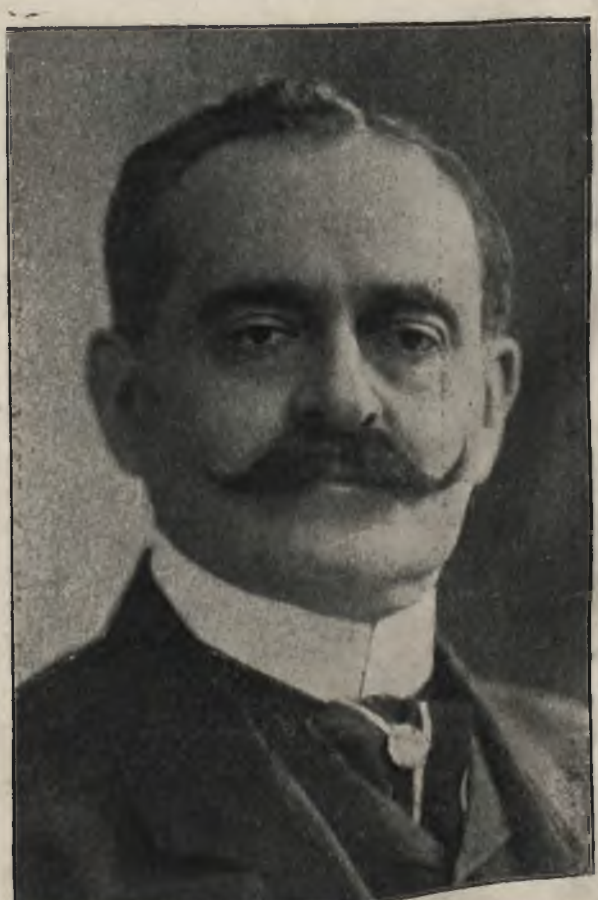
Po ceremonii kościelnej ruszył orszak weselny do Balic, gdzie rodzice panny młodej podejmowali ogromny zastęp gości. Wieczór tego samego dnia odjechali państwo młodzi do Wiednia, do chorego ojca pana młodego, ks. Jerzego, a następnie udadzą się na Ukrainę.



Gody weselne w rodzie Radziwiłłów: Banderya Krakusów z p. Bogackim na czele.

Nowy gmach szkoły przemysłowej we Lwowie.

W ubiegłym tygodniu dokonano we Lwowie uroczystego poświęcenia i otwarcia nowego gmachu państwowej szkoły przemysłowej, wybudowanego dużym nakładem kosztów w dzielnicy podmiejskiej, zwanej „Żelazną Wodą“.



Drugi dyrektor lwowskiego tramwaju: Stanisław Meliński.

Obszerna aula szkoły zaledwie pomieścić mogła licznych uczestników uroczystości, między którymi prócz uczniów i grona nauczycielskiego byli: namiestnik dr. Bobrzyński, członek wydziału krajowego dr. Jahl, wiceprezydent rady szkolnej krajowej dr. Dembowski, wiceprezydent dyrekcyi skarbu dr. Szlachtowski, przedstawiciele rady miejskiej, uniwersy-

tetu, izby handlowej i przemysłowej, towarzystwa politechnicznego i innych instytucyj.

Aktu poświęcenia dokonali księża kanonicy dr. Lenkiewicz i Chęciński, poczem ks. Lenkiewicz wygłosił piękną mowę, podnosząc wybudowanie nowego, znacznie obszerniejszego gmachu szkoły przemysłowej jako dodatni objaw, wskazujący, że wśród mieszkańców kraju wzrasta poczucie potrzeby kształcenia młodzieży w kierunku praktycznym. Życzył dalej mowca kierownikom szkoły, by z zakładu tego wyszło jak najwięcej tęgich, dzielnych obywateli. Następnie przemawiał wiceprezydent dr. Dembowski, a po nim dyrektor szkoły Kłapkowski.



Proces olsztyński: Majorowa Schönebeckowa, moralna sprawczyni zbrodni kapitana Göbena.

Po uroczystem poświęconiu zwiedzili goście cały zakład, urządzony wedle najnowszych wymagań hygieny i pedagogii, zwiedzili też wystawę prac uczniów szkoły.

Proces olsztyński.

W szeregu kobiet demonów, które są prawdziwą plagą dzisiejszego społeczeństwa, należy się pierwsze miejsce byłej pani majorowej Schönebeckowej z Olsztyna we Warmii, którą opinia publiczna uważa za moralną sprawczynię morderstwa, popełnionego przez kapitana Göbena na jej mężu. Typ to psychologicznie ciekawy, nie wiele się różniący od słynnych w ostatnich czasach Steinheillowej i Tarnowskiej, a stanowiący odstraszający przykład, do czego doprowadzić może kobieta, pozbawiona najprymitywniejszych zasad etyki i poczucia swej godności.

Obecnie rozpoczął się w Olsztynie sensacyjny proces, mający wyświetlić, o ile ponosi ona winę, a opinia publiczna, goniąca za takiemi wstrząsającemi nerwy zdarzeniami, śledzi z ciekawością jego przebieg, choć bohaterka dramatu nie cieszy się, wcale sympatyą ogółu. Na rozprawę przybyła pani ex majorowa w towarzystwie drugiego męża i już przed budynkiem sądowym spotkała się z nieprzyjazną demonstracyą zgromadzonych. Uchwalono, że rozprawa w czasie przesłuchiwania oskarżonej co do jej stosunku do męża będzie tajną. Na sali pozostało tylko dwu korespodentów.

Na zapytanie sędziego podała szczegóły, odnoszące się do poznania z mężem i pożycia w pierwszych latach małżeństwa. Jeszcze przed zamążpójściem utrzymywała znajomości z młodymi ludźmi, a znajomości tych małżeństwo nie przerwało. W pożyciu z mężem, który był nerwowym, czuła się nieszczęśliwą i tem tłómaczy swe winy wobec niego. Kapitana Göbena poznała na balu maskowym. W zachowaniu jego chciała raczej widzieć przyjaźń i twierdzi, że nie łączył jej z nim bliższy stosunek i że na przechadzki zabierała rozmyślnie dzieci, aby kapitan nie pozwolił sobie za wiele. Zdaniem jej mąż wiedział o wszystkiem, nie robił jej jednak wymówek, gdyż nadewszystko cenił spokój.

Wogóle, jak z zeznania jej wynika, uważa się za niewiniątko, innego natomiast jest zdania opinia publiczna, której wyraz dali liczni świadkowie, zeznający na jej niekorzyść.

Rozprawa potrwa ponad dwa tygodnie.



Gody weselne w rodzie Radziwiłłów: Tłum publiczności, cisnący się przed kościołem Maryackim w czasie ślubu ks. Radziwiłłów.

Rozboje hakatystów na polskiej ziemi.

Na kresach zachodnich naszego kraju, w mieście Białej, na polskiej ziemi, polała się krew polska z ran, zadanych członkom „Sokoła“ przez rozwydrzonych hakatystów tamtejszych, którzy ufni w opiekę centralistycznej, niemieckiej biurokracyi, panoszą się w tej stronie Polski i dopuszczają się jaskrawych gwałtów.



Rozboje hakatystów na polskiej ziemi: Poraniony uczeń seminaryum w Białej, Międzybrodzki.

Ostatni napad hakatystów z Bielska i Białej na „Sokołów“ polskich jest najoczywistszym dowodem, że stosunki na zachodnich kresach Galicyi są niezdrowe, tem bardziej, że zajście to nie było jakimś odruchem obrażonych uczuć patryotycznych niemieckich, lecz zorganizowanym, uplanowanym długo przedtem napadem rozbójniczym.



Fot. M. Münz, Lwów.

Nowy gmach szkoły przemysłowej we Lwowie: Uroczystość poświęcenia nowego gmachu. W pierwszym rzędzie siedzą: prokurator skarbu radca dworu dr Engel, namiestnik dr. Bobrzyński, wiceprezydent dyrekcyi skarbu dr. Szlachtowki i wiceprezydent Rady szkolnej krajowej dr. Dembowski.

Według autentycznych informacyj, nadesłanych nam z Białej, zajście owo miało następujący przebieg. Gniazdo sokole w Białej, miało w niedzielę 5 czerwca święcić uroczyście dziesięciolecie swego istnienia. Nie podobało się bialskim Niemcom, którzy chcą wszelkimi sposobami zaanektować miasto to dla siebie, że polscy Sokoli zamierzają urządzić tam uroczystość narodową, postanowili też przeszkodzić jej w jakikolwiek sposób. Zupełnie jawnie więc uplanowali napad na Sokołów, którzy w niedzielę rano przybyli z innych miast do Białej na obchód. Na dworcu kolejowym zebrał się tłum niemieckich rozbójników, liczący około 500 ludzi i gdy przybyli Sokoli z Żywca i innych miast, przywitali ich



Nowy ratusz w Brzesku: Wykończony w bieżącym roku budynek, projektowany przez radcę Niewiadomskiego z Krakowa.

hałaśliwą demonstracyą, a następnie obrzucili kamieniami, skutkiem czego kilka osób zostało zranionych, między temi członek Sokoła żywieckiego p. Pydliński i uczeń seminaryum nauczycielskiego z Białej, Międzybrodzki, odnieśli tak silne uszkodzenia, że konieczną była pomoc lekarska. Na zakończenie bandyckiego napadu odśpiewali hakatystyczny swój hymn „Wacht am Rhein".

Wieść o niesłychanym gwałcie Niemców rozeszła się lotem błyskawicy po mieście, wywołując ogromne oburzenie przeciw sprawcom napadu. Pełne godności stanowisko ludności polskiej nie dopuściło już do dalszych ekscesów, tembardziej że i policya miejscowa uznała za właściwe wkroczyć w tę sprawę. Obchód więc odbył się już bez jakichkolwiek przeszkód.

Drugi dyrektor lwowskiego tramwaju.

Wobec coraz bardziej rozwijającego się we Lwowie ruchu tramwajowego i powiększenia linij tramwajowych, postanowiła miejska komisya elektryczna stworzyć posadę referenta, względnie dyrektora administracyjnego lwowskiego tramwaju elektrycznego, który sprawować będzie obowiązki obok dotychczasowego, wielce zasłużonego dla rozwoju tego działu gospodarki miejskiej, dyrektora technicznego p. Tomickiego.

Na ostatniem posiedzeniu rady miejskiej posadę drugiego dyrektora nadano p. Stanisławowi Melińskiemu, wyższemu urzędnikowi kolei państwowej. P. Meliński jest w pełnej sile wieku, liczy bowiem 48 lat. Jako Lwowianin tutaj kończył szkoły średnie i politechnikę, a równocześnie uczęszczał do konserwatoryum muzycznego jako uczeń ś. p. dyrektora Mikulego; jako wiolonczelista był uczniem profesora Wohlmanna i słynnego Poppera. Od lat 25 pracuje jako urzędnik dyrekcyi kolei państwowych we Lwowie. Równocześnie zasilał pisma polskie we Lwowie, Krakowie, Poznaniu i Warszawie pracami z dziedziny muzyki, a przez ćwierć wieku pracuje stale jako recenzent muzyczny *Kuryera lwowskiego*.

Obok osobistych zalet, jakie zjednały p. Melińskiemu szerokie grono szczerych przyjaciół, posiada on wielki zasób fachowej wiedzy i dlatego jest cennym nabytkiem na stanowisku, jakiem go rada miejska obdarzyła.



Fot. M. Münz, Lwów.

Nowy gmach szkoły przemysłowej we Lwowie: Wystawa prac uczniów w głównej sali nowego gmachu.

Nowy ratusz w Brzesku.

Z uznaniem stwierdzić należy, że zarządy naszych miast galicyjskich i to nawet mniejszych, dokładają starań i nie szczędzą funduszów na nadanie im artystycznego wyglądu. Giną więc z widowni stare budy, nazywane niegdyś szumnie ratuszami, a przypominające swym wyglądem raczej domy zajezdne, miejsce ich zaś zajmują stylowe budynki, które w długie lata stanowić będą trwałą pamiątkę troskliwości zarządu o rozwój powierzonego ich opiece miasta. Rzecz prosta, że zawsze liczyć się musi każdy dobry gospodarz z funduszami, boć, jak powiada przysłowie, wedle stawu grobla, a nie sztuka zaplątać się w długi, aby za uzyskane w ten sposób pieniądze, dać fałszywe świadectwo rzekomego rozwoju i dobrobytu. Nie wymagamy więc, aby ratusz w małem mieście miał koniecznie być tak wspaniałym, jak w stolicy; zupełnie wystarczy, jeśli odpowiada on celowi, to jest, jeśli oprócz artystycznej formy, jest dość obszerny i wygodny, aby mógł pomieścić, urzędy miejskie i ponadto, jeśli okoliczności pozwalają, przynieść dochód n. p. z umieszczonych w nim sklepów.

W r. 1909 rozpoczął urząd miejski w Brzesku, w dawnym cyrkule tarnowskim, budowę nowego ratusza, którą szczęśliwie doprowadzono w r. 1910 do końca. Piękny, stylowy budynek wykonała według projeku i pod kierownictwem c. k. radcy budownictwa p. Gabryela Niewiadomskiego z Krakowa, zaszczytnie znana firma krakowska W Apter. Jak z załączonej fortografii widać, będzie to prawdziwa ozdoba Brzeska i trwały dowód, że rada miejska pamięta o swych obowiązkach i stara się o podniesienie miasteczka na każdem polu, a zaznaczyć należy, że jest ono, jak każde galicyjskie miasteczko, ubogie i liczy tylko niespełna cztery tysiące mieszkańców. Jeśli więc ożywiają dobre chęci, zwycięża się często i wielkie przeszkody.



Rozboje hakatystów na polskiej ziemi: Grono Sokołów z Żywca, napadniętych przez Niemców w Białej; u dołu obandażowany p. Pydliński, zraniony w głowę.

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

3

— Niech mi pan pozwoli posłać po mego doktora, profesora Churt — rzekła Roza. — Nikt nie może być zręczniejszy.

— Niech mi pani wybaczy — broniłem się — profesor Churt jest wielką lekarską powagą, ale on nie jest chirurgiem i tutaj na nicby się nie przydał.

Skłoniła się pokornie — tak mi się wydało.

Takimi materyałami, jakie miałem pod ręką, związałem razem nogi Alreski, tak że zdrowa noga służyła za łupki i umieściliśmy go na noszach. Był to pierwszy wypadek w mej praktyce i nie umiem wypowiedzieć, jak bardzo czułem się nieśmiały i niezręczny, gdy ludzie, którzy mieli ponieść nosze do garderoby, w milczeniu oczekiwali moich rozkazów.

— Słuchajcie — rzekłem — idźcie małym krokami, zegnijcie kolana i idźcie jak najwolniej, równo... A teraz wszyscy razem równocześnie podnieście nosze. Raz, dwa, trzy... w górę!

Roza szła za nami, za tą małą procesyą, przesuwającą się powoli wpośród chaosu sceny. Alreska z przymkniętemi oczami, jęczał. Nagle otworzył oczy i ujrzał ją, zdaje się, teraz dopiero. Podniósł głowę i pot wystąpił mu na czoło.

— Niech ją pan oddali- — krzyknął z wyrazem udręczenia i męki psychicznej i równocześnie fizycznej. — Ona mi nieszczęście przynosi.

Niosący przystanęli, przestraszeni tym dziwnym wybuchem; ja jednak kazałem im iść dalej i spojrzałem na Rozę. Zakryła twarz rękoma i łkała.

— Niech pani będzie łaskawa odejść — przemówiłem. — Bardzo zależy na tem, by on nie ulegał wzruszeniom.

Bez zamiaru, mimowoli, dotknąłem jej ramienia.

— Alreska tego naprawdę nie myśli! — wyjąknęła.

Utkwiła we mnie spojrzenie swych niebieskich oczu, promiennych, mimo łez; obejmowałem oczyma cudowne linie niezrównanego owalu jej twarzy.

— Pewien jestem, że nie — szepnąłem. — A jednak byłoby lepiej, gdyby się pani oddaliła... nieprawdaż?

— Prawda — odrzekła — to też pójdę.

— Niech mi pani daruje, że tak nalegam — szepnąłem.

Wtedy cofnęła się i zginęła w tłumie.

W ciszy nieporządnej garderoby, z pomocą służącego Alreski, ułożyłem pacyenta mego jak najwygodniej na sofce. I wtedy spotkała mnie wielka niespodzianka. Drzwi otworzyły się i wszedł stary Toddy. Wszyscy mieszkańcy miasta Edynburga znają aż nadto dobrze starego Toddy Mac Whirter'a, pierwszego i najsławniejszego chirurga Szkocyi...

Zadrżałem. Zadrżałem zaś mianowicie dla tego, że sławny ten łysy profesor dopieroco przy ostatecznym mym egzaminie pytał mnie z chirurgii. Przy tej okazyi strzeliłem fatalnego bąka — a tak śmiesznego, że nasępiony i groźny humor starego Toddy przeszedł odrazu w śmiech i hałaśliwą wesołość.

Myślałem, że mnie nie pamięta, ale on miał rozpaczliwie dobrą pamięć fizyonomii.

— A! — rzekł — ja pana znam.

— Tak, panie profesorze.

— To pan mi przy egzaminie powiedział, że...

— Proszę, panie profesorze... — zacząłem błagalnie.

Może nie byłby mi darował, gdyby nie to, że Sir Cyryl stał tuż za nim. Impressario objaśnił, że sławny profesor znajdował się wpośród widzów i że ofiarował swoje usługi.

— Co my tu mamy? — zapytał Toddy, zbliżając się do Alreski.

— Złamanie kości goleniowej.

— Proste, naturalnie.

— Tak, panie profesorze, proste, ale o ile mogę ocenić, trochę specyalnej natury. Posłałem do kliniki uniwersyteckiej po łupki, gips i po bandaże.

Toddy zdjął tużurek.

— Nie będzie nam pan potrzebny, Sir Cyrylu — rzekł mimochodem.

I Sir Cyryl wyszedł.

W godzinę później noga już była złożona — z mistrzowską zręcznością — a oprócz krótko rzucanych rozkazów, Toddy nie przemówił prawie ani słowa. Myjąc ręce w kąciku garderoby, skinął ręką ku mnie.

— Jaka tego przyczyna? — szepnął.

— Zdaje się, że nikt tego nie wie.

— Nie chodzi o to zresztą! Każ mu pan jeszcze trochę poleżeć, a potem odstaw go do domu. Nie będziesz pan miał z nim kłopotu, ale kręcić się i podrygiwać tak prędko on nie będzie.

I Toddy także poszedł sobie. Nie okazał żadnej ciekawości co do osobistości Alreski, i myślę, że wogóle nie interesowała go różnica pomiędzy pierwszym tenorem Europy a chórzystą. Dla niego Alreska był poprostu osobnikiem, który śpiewał i podrygiwał.

Dałem odpowiednie zarządzenia co do przetransportowania chorego za godzinę do jego mieszkania, a potem usiadłem przy nim. Blady był i słaby, ale zupełnie przytomny. Okazał się doskonałym pacyentem. Nawet w najboleśniejszej chwili zestawiania nogi, nie opuściła go osobista dystynkcya i skończenie wytworna grzeczność. A teraz leżał ze zwichrzonym jedwabistym wąsem i wilgotnym włosem, obraz szlachetnej rycerskości, taki, jakim go widziałem w Tristanie. Nie mógł się poruszać, gdyż cały był ujęty w łupki i w bandaże, ale ręce miał wolne; podniósł tedy lewą rękę i skinął na mnie, prosząc tym gestem, bym przysunął się doń jak najbliżej.

Uśmiechnąłem się i przysunąłem.

— Mój dobry przyjacielu — szepnął — ja nie wiem, jak pan się nazywa.

Mówił po angielsku nie tak, jak Anglik mówi, ale bardzo pięknie z cudzoziemskim akcentem.

— Nazywam się Karol Foster — odrzekłem.— Lepiejby było, gdyby pan nie mówił.

Zrobił znowu gest przeczący tą swoją przepiękną ręką.

— Monsieur Foster, ja muszę pomówić z mademoiselle Rozą.

— To być nie może — odrzekłem. — Doprawdy, to konieczne, żebyś pan miał spokój zupełny.

— Dobry przyjacielu, niech mi pan tego nie broni! Będzie mi lepiej, jeśli ją zobaczę. To mi wiele dobrego zrobi.

Takie pragnienie było w jego oczach, taka przekonywująca skarga w jego głosie, że wbrew własnemu sądowi, uległem.

— Dobrze — odpowiedziałem, ale przestrzegam pana, że tylko na pięć minut będziesz ją mógł zobaczyć.

Skinął ręką, że się zgadza, a ja posłałem służącego, by się rozpytał o Rozę.

— Panna Roza Rozetta jest tutaj — oznajmił służący, otworzywszy drzwi. Zerwałem się. Była tu, istotnie, stała pod drzwiami w wąskim korytarzyku. Miała wciąż jeszcze ślubny strój Elzy na sobie, i zdawało się, że czeka na pozwolenie wejścia. Wyszedłem do niej i zamknąłem drzwi.

— Sir Cyryl nie chciał mnie wpuścić — rzekła. — A jabym tak chciała zajrzeć do niego. Jakże on się miewa?

— Doskonale się miewa — odpowiedziałem — i radby trochę pogawędzić z panią.

— A czy mu wolno?

— Jeżeli pani przyrzeknie, że będzie z nim pani rozmawiała bardzo spokojnie, tak, że go to nie wzruszy...

— Przyrzekam! — odpowiedziała bardzo poważnie.

— Niech pani pamięta — dodałem — tylko kilka słówek... kilka niewinnych słówek!

Skinęła głową i weszła, a ja za nią. Na jej widok na twarz Alreski wystąpił smutny uśmiech. Spojrzeniem dał znak służącemu, by wyszedł. Ja z obowiązku mojego zawodu zostałem w pokoju. Mogłem tylko usunąć się jak najdalej od jego sofki i udawać, że jestem pilnie zajęty zwijaniem pozostałych bandaży.

— Moja biedna Rozo... — posłyszałem słowa Alreski.

Dziewczyna przyklękła przy jego boku i ujęła jego rękę.

— Jak się to stało? Opowiedz!

— Nie umiem ci opowiedzieć! Zobaczyłem coś... coś... i upadłem... i noga zaplątała mi się w jakąś maszynerye... a więcej nic nie pamiętam.

— Widziałeś coś? Co takiego widziałeś?

Nie było odpowiedzi.

— Czy przestraszyłeś się — pytała Roza łagodnie.

Znów nie było odpowiedzi.

— Tak — rzekł wkońcu Alreska — przestraszyłem się.

— Co to takiego być mogło?

— Mówię, że ci nie umiem powiedzieć. Sam nie wiem.

— Ukrywasz coś przedemną, Alresko! — zawołała w uniesieniu.

Już chciałem przerwać i zakończyć rozmowę, ale zawahałem się. Ci dwoje zapomnieli widać o mojej obecności.

— Skądżeż znowu? — szepnął Alreska. — Ja, moje drogie dziecko, nie mam nic do ukrywania przed tobą.

— Przeciwnie — rzekła — ty coś ukrywasz przedemną. Dziś przed wieczorem mówiłeś do Sir Cyryla, że spodziewasz się nieszczęścia. To nieszczęście cię spotkało. Skąd mogłeś wiedzieć, że ono nadchodzi? A teraz, wieczorem, gdy cię niesiono na noszach, czy pamiętasz, coś powiedział?

— Co ja powiedziałem?

— Nie pamiętasz tego?

— Pamiętam, owszem — przyznał. Ale to była niedorzeczność. Nie wiedziałem sam, co mówię. Rozo, to było bezprzytomne majaczenie. I dla tego właśnie pragnąłem cię zobaczyć... ażeby ci wytłómaczyć, że to była niedorzeczność. Ty musisz zapomnieć o tem, co wtedy rzekłem. Pamiętaj tylko, że ja ciebie kocham.

Roza nagle powstała.

— Nie powinieneś mnie kochać, Alresko — rzekła drżącym głosem. — Prosisz mnie, abym o czemś zapomniała. Będę się starała zapomnieć. Ale i ty musisz o czemś zapomnieć... o twojej miłości.

— Ależ wczoraj wieczór — zawołał z boleścią — wczoraj, gdym napomykał... tyś tego nie mówiła, Rozetto!

Podniosłem się. Nie pozostawało mi nic do wyboru — musiałem ich rozłączyć. Gdyby się ta rozmowa miała przeciągnąć, mogłyby stąd wyniknąć poważne następstwa dla mojego pacyenta. A jednak zawahałem się znowu. Odgłos łkań Rozy wstrzymał mnie na miejscu.

Znowu przypadła na kolana.

— Alresko! — jęknęła.

Chwycił jej rękę i ucałował ją.

Wtedy wystąpiłem naprzód, zbierając całą odwagę ku okazaniu mojej doktorskiej powagi. W tej samej chwili rysy Alreski, na których malowała się najgłębsza radość, zmieniły nagle wyraz i odmalowało się na nich przerażenie. Z spojrzeniem, pełnem okropnego lęku, wskazał ręką na bieloną ścianę naprzeciw. Starał się usiąść, lecz bandaż gipsowy przeszkodził. Głowa mu opadła wstecz.

— Znowu tam jest! — jęknął. — To fatalność! O, Rozo moja...

Słowa zamarły mu na ustach. Omdlał. Ja zaś Rozę Rozettę wyprowadziłem z pokoju.

Rozdział IV.

Znane są wszystkim Złote Sale w Wielkim Babylońskim hotelu nad wybrzeżem w Londynie. Olbrzymie są, wspaniałe i zbytkowne i całe lśniące od złota. Urządzone z przepychem i dekorowane z wytwornym smakiem, stanowią tło korzystne nie tylko dla toalet kobiecych i białych ich ramion, ale nawet dla ciemnej masy strojów męskich. To też kosztownem jest wynajmowanie Złotych Sal w Wielkim Babylońskim hotelu i tylko Towarzystwa dobroczynne, plutokracya, albo wielcy potentaci teatralnego świata, zdobywać się mogą na zbytek najmowania ich dla swoich obchodów lub przyjęć.

Późno bardzo przybyłem na wielce reklamowane przyjęcie kuzyna mego Sullivana. Najchętniej nie byłbym był wcale poszedł, poprostu dlatego, że nieśmiały byłem i nieobyty z ludźmi, jednakże oboje i on i jego żona tak byli poczciwi i tak widocznie starali się okazać mi swoją życzliwość, że czułem się zobowiązany pokazać się tam, choćby na chwilę. Stojąc w pierwszym pokoju i rozglądając się w ożywionym tłumie strojnych aktorek, które tak zabiegliwie i z tak obfitą gestykulacyą trzepotały się i szczebiotały w tłumie otaczających je mężczyzn, powiedziałem sobie, że dziwnie tutaj jestem nie na miejscu. Nie znałem żywej duszy, a ponieważ napływ przybywających gości już ustał, nie mogłem dojrzeć na razie samych gospodarzy.

Ruchomy obraz przed memi oczami przyciągał mnie i równocześnie odpychał. Widziało się odrazu, że większość tam obecnych mężczyzn i kobiet miała za jedyny cel w życiu, ściągać na siebie uwagę; różne zaś metody osiągania tego celu, ciekawe były i rozmaite. W istocie oni wszyscy wciąż jeszcze byli na scenie. Nawet na orkiestrę, zdaje się, patrzyli, jak na specyalny akompaniament, trafnie dobrany do ról ich i póz... Z obojętnych spojrzeń ich na mnie czytałem, że jestem dla nich kimś obcym, kimś poza tym ich małym, zawodowym światkiem. Więc też poczułem się zniechęcony — poczułem

się wobec tych świetności mizernym robaczkiem. Proszę nie zapominać, że byłem bardzo młody.

Idąc ku głównej sali spotkałem się w progu z kobietą uderzającej powierzchowności, za którą szły dwie inne. Znałem dobrze jej twarz, gdyż widziałem ją raz na scenie, a często na fotografii w oknach wystawowych; była to Marya Deschamps, diva teatru Diana, primadonna sławnej operetki Sullivana „Moja Królowa“. Dość było jednego spojrzenia, ażeby poznać, że Miss Deschamps jest bardzo znaczącą osobistością i że większa część jej wysokiej gaży idzie na toalety. Strój jej wyraźnie świadczył, że nie jest byle kim.

W przejściu przyjrzała mi się ciekawie, z wielką zresztą otwartością. Naturalnie wytrąciło mnie to z kontenansu, zwłaszcza gdy ręką dotknęła mojego rękawa. Ale operetkowym divom to uchodzi.

— Ja wiem, kto pan jesteś — rzekła, śmiejąc się i pokazując ząbki. — Pan jest kuzynkiem kochanego, starego Sullivana; pokazał mi pana wczoraj w teatrze. No, niech pan nie mówi, że to nie pan, bobym się zblamowała, a także na miłość boską, niech pan nie mówi, że mnie pan nie zna — bo mnie wszyscy znają, a kto mnie nie zna, powinien mnie znać.

Oszołomiony wielomowną jej zaczepką, zarumieniłem się gwałtownie, ująłem podaną mi małą rączkę i zapewniłem, że jestem w istocie kuzynkiem Sullivana Smitha, a jej szczerym wielbicielem.

— To dobrze — odpowiedziała, unosząc na swój sposób wspaniałe swe ramiona. — A teraz niech mnie pan poprowadzi do Sullivana, ażeby nas oficyalnie zapoznał. Kto tylko jest przyjacielem Sullivana, jest i moim przyjacielem. Jakżeż się panu podoba moja nowa piosenka?

— Jaka nowa piosenka? — zapytałem nieostrożnie.

— No, ta naturalnie: „Kto doił krówkę“?

Starałem się ją przekonać, że zrobiła na mnie niezatarte wrażenie; i w ten sposób rozmawiając, ruszyliśmy na poszukiwanie Sullivana, podczas gdy wszyscy oglądali się na nieznanego, nieśmiałego młodzieńca, towarzyszącego Maryi Deschamps.

— Jest tutaj — rzekła towarzyszka moja — przysłuchując się orkiestrze. Orkiestrę sobie sprowadził, kochany mały! Sullivanie, zawarłam znajomość z twoim kuzynem!

— Ogromnie mnie to cieszy! Ach mój młody przyjacielu — zwrócił się do mnie — widzę, że doskonale umiesz sobie radzić! Ale ci medycy, oni zawsze tacy. No, ale cóż sądzisz o dzisiejszem przyjęciu? Jakże ci się to wszystko wydaje?

— Czy on tego nie urządził znakomicie, panie Foster? — dorzuciła Miss Deschamps.

Odpowiedziałem z najwyższem uznaniem.

— Uważasz — rzekł Sullivan poważniejąc i zniżając głos — wysłałem czterysta zaproszeń, a kosztować mnie to będzie siedmset pięćdziesiąt funtów. Ale to mi się opłaci. Pani to wie, nieprawdaż, panno Maryo? Proszę spojrzeć na zapowiedź w pismach! I mam tu całą gromadę dziennikarzy. Jutro o mojem przyjęciu rozpisywać się będą gazety. I myślę, że urządziłem wszystko, jak się należy... To tylko skromne przyjęcie, ale postarałem się o bufet, co się zowie! Jest i fumoir dla panów... Żona urządziła gabinet spirytystyczny, a w tej tutaj sali będzie widowisko. Jest tu wiele osób bardzo *comme il faut*, nie same tylko chórzystki i komparsi... Nieprawdaż, Marie?

— Spodziewam się — odpowiedziała.

— Rozetta Roza przyrzekła być — a ona nie wszędzie bywa, o! nie wszędzie! Nawiasem mówiąc, jużby tu być powinna.

Spojrzał na zegarek.

— Ach, panie Foster — zagadnęła diva — musi mi pan opowiedzieć wszystko o tej sprawie. Mówiono mi, że pan tam był i że tam się straszna scena odegrała!

— O jakiej sprawie pani mówi? — zapytałem.

— No, o tem przedstawieniu opery, parę dni temu, gdy Alreska złamał nogę. Czyż to nie pan poszedł za kulisy i uratował mu życie?

— Właściwie, to ja mu życia nie uratowałem, ale pośpieszyłem z pierwszą pomocą lekarską.

— Mówią, że Alreska jest potajemnie ożeniony z Rozą. Czy też to prawda?

— Doprawdy nie wiem, ale nie przypuszczam.

— Co ona mu powiedziała, gdy weszła do jego garderoby? Ja o tem wiem, gdyż jedna z naszych dziewcząt ma siostrę, chórzystkę w operze i ta widziała, jak Roza wchodziła... Chciałabym wiedzieć, co ona powiedziała i co on powiedział?

Wzięła mnie nagle ochota zmyśleć niewinną bajeczkę dla rozerwania Marie Deschamps. Sam się sobie dziwiłem. Spostrzegłem, że zaczynam oswajać się z towarzystwem „wielkich ludzi“.

— Czy naprawdę? — zawołała, gdym skończył.

— Zapewniam panią.

— On panią nabiera — wtrącił Sullivan z uśmiechem.

— Pan Foster tegoby nie zrobił — zauważyła z godnością, a ja złożyłem niski ukłon.

Jakiś pan z szkiełkiem w oku zbliżył się i zaczął coś mówić Sullivanowi na ucho. Sullivan musiał nas opuścić.



I zasiedliśmy oboje po przeciwnych stronach stołu.

— Zobaczymy się jeszcze — uśmiechnął się. Niech mu pani nie da krzywdy zrobić, panno Maryo. Ale, ale, Karolu, żona kazała ci specyalnie powiedzieć, żeś masz zajść do jej spirytystycznej komnaty. Nie zapomnij o tem!...

— I ja tam pójdę! — rzekła Miss Deschamps. Może mnie pan zechce zaprowadzić, jeśli pan łaskaw. A potem muszę pójść tam, gdzie się szampan leje. Ale nie z panem, nie z panem, panie Foster! Są inni panowie, którzy na to czekają. A teraz chodźmy.

Wysunęliśmy się z gwaru i ruchu wielkiego salonu i znaleźliśmy się w pokoju o wiele mniejszym, zapełnionym cicho szepczącymi poszukiwaczami tajemnej wiedzy przyszłości. Ten pokój słabo był oświetlony od sufitu jednem, jedynem elektrycznem światłem, ujętem w abażur, kształtu czerwonej japońskiej latarni.

Drugi koniec pokoju odgrodzony był podwójną kotarą. Ta rozchyliła się właśnie w chwili, gdyśmy wchodzili, i ukazała się Emmelina, prowadząca za rękę nerwowo śmiejącego się pana.

— Wasze losy, panie i panowie! kto chce poznać swoje losy? — wzywała uprzejmie. Wtem zauważyła mnie i nagle zaszła zmiana w jej zachowaniu się; tak mi się przynajmniej wydało.

— Ach jesteś nareszcie, Karolu! — zawołała, występując naprzód i nie zważając na innych gości, zajęta już tylko mną i Maryą Deschamps.

— Tak, droga Emmelino — rzekła Marya — przyszliśmy. I chciałabym zobaczyć coś w kuli kryształowej. Jak ty to robisz? Powiedz!

Emmelina powiodła wzrokiem dokoła.

— Sullivan twierdził, że mój spirytystyczny eksperyment zrobi fiasko — uśmiechnęła się — a tymczasem nie zrobił, co? Przyszłam tu, jak tylko skończyłam witać gości i już zdążyłam mieć sama nie wiem ilu klientów... Ale wiecie, długo tu nie będę mogła pozostać. Sullivan nie jest rad, że tu w ogóle jestem. On uważa, że to nie wypada, ponieważ jestem gospodynią...

— Ależ to właśnie wielka łaskawość ze strony pani! — wtrącił ktoś.

— To ślicznie! — rzekła Marie.

— A teraz kto pójdzie pierwszy? — zapytała Emmelina zakłopotana.

— Ach, ja, naturalnie ja! — odpowiedziała Marie Deschamps bez chwili wahania albo wątpliwości, choć ona i ja weszliśmy ostatni. Ale reszta zgodziła się bez protestu, gdyż Marie stała od nich wyżej...

— Pójdź więc — rzekła Emmelina z ulgą.

Poruszyłem się, chcąc iść z niemi.

— Nie, panie Foster — rzekła Marie. — Pan niech sobie tu zostanie i niech pan nie podsłuchuje!

Obiedwie kobiety zniknęły za portyerą i słaby chichot Maryi, wnet powstrzymany, dał się słyszeć. Posłuchałem jej rozkazów, ale ponieważ nikogo w tym pokoju nie znałem, wyszedłem przejść się troszkę, w nadziei, że spotkam może Rozettę Rozę. Jednakże nie znalazłem jej w żadnej z natłoczonych sal.

Wróciwszy, zastałem poczekalnią przed kotarą pustą już i Emmelinę samą, zabierającą się już ku wyjściu.

— Jakto! już koniec? — zawołałem zdziwiony.

— Tak — rzekła — Sullivan przysłał po mnie. Rozumiesz, trzeba naturalnie zajmować się swoimi gośćmi... Tylko, że to są naprawdę goście Sullivana.

— A ze mną co będzie? — rzekłem. — To ja już nie będę mógł spojrzeć w kulę kryształową?

Właściwie powiedziałem to tylko żartem, gdyż w gruncie rzeczy nic mi na tem nie zależało. Ale Emmelina słowa moje wzięła na seryo. Twarz jej przybrała jakiś skupiony wyraz.

— Czy ty pragniesz tego rzeczywiście? — zapytała mnie tym swoim przejmującym głosem.

W duszy myślałem: „To wszystko nonsens, przypuśćmy jednak, że może być coś na tem?“ Głośno zaś rzekłem:

— Ależ koniecznie pragnę!

— To pójdź — odrzekła.

Przeszliśmy przez pokój, oświecony czerwoną japońską latarnią — i ot! następny był zupełnie ciemny, z wyjątkiem owalu białego światła, padającego jaskrawo na czarny stół marmurowy. Efekt to był, na pierwsze wrażenie, niesamowity, dawał się jednak łatwo wytłómaczyć. Światło płynęło ze stojącej na stole elektrycznej lampy, osłoniętej częściowo daszkiem z czarnej tektury.

Skoro oczy moje oswoiły się z ciemnościami, dostrzegłem obok stołu dwa krzesła.

— Siądź — przemówiła Emmelina.

I zasiedliśmy oboje po przeciwnych stronach stołu.

Emmelina była wspaniale ubrana. Widziałem przez stół, że bębni palcami w marmur, potem zaś nachyliła głowę pod daszek lampy i na sekundę długie jej i nieco ciężkie, ale piękne rysy ukazały się najdokładniej w jaskrawem świetle, by natychmiast znowu zniknąć w ciemnościach. Było w tem coś niesamowitego. Czułem się pod wrażeniem i cała ta zabobonność, która, jak wąż ukryty, czai się w sercu każdego człowieka, poruszyła się we mnie i podniosła głowę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Powrót dr. Charcota do Francyi: Arcybiskup z Rouen (w środku) witający komendanta wyprawy (na prawo).

Powrót dra Charcota do Francyi.

Przed dwoma laty wysłała Francya dra Charcota na okręcie „Pourquoi-Pas“ w południowe okolice podbiegunowe celem zbadania ich pod względem geograficznym, geologicznym i zoologicznym. Pionierowie wiedzy wycierpieli wiele podczas długiej podróży, dr. Charcot chorował na szkorbut i cierpienia serca, a był nawet dzień, w którym o mało nie umarł z głodu wraz z słynnym geologiem Gourdonem. Trudy jednakowoż obficie się opłaciły, gdyż wyprawa przyniosła nader bogaty plon naukowy.

Dzielnym badaczom zgotowano też wspaniałe przyjęcie w ojczyźnie. W porcie Rouen zgromadzili się przedstawiciele rządu i różnych ciał naukowych, a tysiączne tłumy wyległy na ulice, aby bodaj zdala ujrzeć tych, którzy gardząc śmiercią i trudami na dalekiem Południu, pracowali dla sławy Francyi. Imieniem rządu przywitał powracających admirał Tournier, a M. Pavie ofiarował dzielnym marynarzom i ich dowódcy imieniem ministra spraw zagranicznych medal honorowy, odznakę, którą na wniosek ministerstwa marynarki przyznano wyjątkowo uczestnikom wyprawy.

W uroczyście udekorowanej sali posiedzeń magistratu przywitał powracających deputowany August Leblond, poczem kierownik wyprawy dr. Jan Charcot w wymownych słowach skreślił pokrótce przebieg całej podróży i podziękował za serdeczne przyjęcie, jakie mu zgotowała stara stolica Normandyi.

W czasie uczty, wydanej na ich cześć przez reprezentacyę miasta, opowiadali dzielni marynarze swe niezliczone przygody, a przyjaciele ich i znajomi z wielkiem zainteresowaniem słuchali tych niezwykłych opowieści, badając zmiany, jakie na ich twarzy wywołały wiatry i burze arktyczne.

Rezygnacya rady miejskiej w Serajewie.

W czasie ogłoszenia konstytucyi w Bośni i Hercegowinie, poczęto z coraz większą uwagą śledzić rozwój obu tych krajów, które bądź co bądź w dziwnym stosunku zostają do Austro-Węgier. Jako do krajów anektowanych przez monarchię habsburską równe prawa rości sobie Austrya, jak i Węgry, choć też przyznać trzeba, że Węgry mają ogromny apetyt na obie te prowincye i pragnęliby je widzieć częściami składowemi dzierżaw korony świętego Szczepana. Z innej strony wyłonił się projekt, aby Bośnia i Hercegowina wraz z krajami południowo słowiańskimi utworzyły osobne królestwo, połączone z Austryą w ten sposób unią personalną, jak Węgry, wobec czego dualizm monarchii zmieniłby się na tryalizm. Jaki będzie wynik, nie wiadomo, dziś jednak widzimy już, że choć autonomia tamtejsza jest młodą, rozwija się jednak bardzo pięknie i rokuje najświetniejsze nadzieje.

W niedługim czasie zbiera się sejm bośniacki, pierwszy od chwili ogłoszenia konstytucyi, który zajmie się uporządkowaniem spraw krajowych i uchwaleniem ustaw autonomicznych.

W przededniu prawie jego zwołania, zrezygnowała dobrowolnie cała rada miejska stolicy Bośni, Serajewa, ponieważ nie chciała, aby nowe wybory przeprowadzono wedle przestarzałego statutu. Tymczasem zarząd miasta obejmie komisarz rządowy, a to na tak długo, dopóki zebrać się mający sejm nie uchwali nowej ustawy wyborczej, która jest już w zasadzie opracowaną. Zaraz po jej zatwierdzeniu odbędą się nowe wybory do reprezentacyi miejskiej.

Nietylko więc my zajmujemy się sprawami wyborczemi, bo i na Południu myślą o tem samem, z tą jednak różnicą, iż nie znają tam pewnie kwestyi równouprawnienia kobiet, wobec czego nie domagają się dla nich czynnego i biernego prawa wyborczego.



Powrót dr. Charcota do Francyi: Powitanie Charcota przez reprezentantów władz i znajomych na pokładzie „Ponrquoi-Pas“.



Turniej szermierczy szkół średnich: Uczestnicy turnieju z członkami jury; w pośrodku jej przewodniczący dr. Bielawski, obok niego na lewo fechmistrz klubu p. Winkler.

Dyrektor lwowskiego tramwaju.

(Do illustracyi na str. 15).

Na innem miejscu zamieściliśmy portret p. Stanisława Melińskiego, mianowanego przed paru dniami referentem administracyjnym tramwaju lwowskiego. Z okazyi tej należy wspomnieć, iż naczelnym dyrektorem i kierownikiem technicznym tego ogromnego przedsiębiorstwa miejskiego we Lwowie, jest dalej dyrektor Józef Tomicki.

Rozwój zakładu elektrycznego jest główną zasługą p. Tomickiego. Jego niezwykła wiedza, energia, a zarazem obywatelskie poczucie i sumienność przyczyniły się do istniejącego obecnie stanu. Umiał on też dobrać sobie zdolnych techników i naczelników poszczególnych działów tej instytucyi, która gminie przysporzyła poważnych dochodów, a miasto postawiła pod względem komunikacyi na stopie europejskiej.

Dyrektor Tomicki pracował początkowo jako inżynier w przedsiębiorstwie Siemens i Halske, od którego gmina wykupiła tramwaj. I wówczas wybił się swojemi zdolnościami na pierwszy plan. To też przy objęciu przedsiębiorstwa na własność gminy przed 11 laty, jemu powierzono stanowisko dyrektora, na którem dotąd z chlubą dla techniki polskiej pracuje.

Kronika tygodniowa.

(Medard a Onufry. — Pochód demonstracyjny socyalistów. — Zdziwienie Mickiewicza i jego pokorna prośba. — Nowa pompa na Bielanach. — Brak wody gdzieindziej. — Skutki posuchy dają się już odczuwać. — Wybory w gminach podmiejskich. — Kogo wybierać? — Rozłam u endeków i ludowców. — Walka nad Pełtwią. — Co nam najlepszego narobiła operetka! — Moje kłopoty domowe. — Najlojalniejszy związek małżeński na świecie. — Powszechna służba wojskowa dla kobiet... ale tylko w Stryju. — Co mówią na to niewiasty).

Nadzieje, jakie łączono z uroczystością św. Medarda, zawiodły nas najzupełniej. Nie pomogły prośby i groźby, a nawet obietnica, że urzędowo zamianowany zostanie patronem Wielkiego Krakowa. Medard został niewzruszony, a aby dać poznać, jak wielką jest jego potęga i że gdyby chciał, to potrafiłby nas nawet zalać wodą, spuścił w samo południe kilkanaście kropli, które ani kurzu na ulicach nie usunęły, ani brakowi wody nie zapobiegły. Pokazało się, że św. Medard nie wiele sobie robi z rozkazów i poleceń Rady miejskiej, a kto wie, może w ten sposób chciał się pomścić za swego kolegę św. Idziego, z którego ruderami Rada miejska tak się obeszła bez litości. Daleko łaskawszym okazał się św. Onufry, który w niedzielę w samo południe tak nam siknął obficie, że mimowoli wzdychaliśmy już do pogody.

Deszcz ten zrobił na złość towarzyszom, popsuł im bowiem pochód demonstracyjny, który urządzono na rzecz reformy wyborczej w Wielkim Krakowie, gdyż wedle dotychczasowej normy żaden socyalista niema nadziei, by zajął bodaj drążkowe miejsce w Pałacu Wielopolskich. Jeneralny parasol Krakowa, Sukiennice, użyczył schronienia licznym rzeszom, towarzyszącym w pochodzie panu Ignacemu, który nic sobie z deszczu nie robiąc, podążył na czele deputacyi do prezydyum miasta i tam wręczył wice-prezydentowi Szarskiemu postulaty proletaryatu, który, rzecz zrozumiała, domaga się czteroprzymiotnikowego prawa wyborczego dla siebie, swych żon i dzieci.

Ogromnie zdziwił się Mickiewicz, że ominął go zaszczyt udekorowania czerwonymi sztandarami, do czego się już przyzwyczaił, ale za mojem pośrednictwem wnosi do władz c. k. rządowych i autonomicznych pokorne zapytanie, dlaczego właściwie pozwalają w czasie pochodów socyalistycznych na spinanie się prawie na sam szczyt pomnika, który skutkiem tego może bardzo łatwo zostać uszkodzony. Jak wielki mistrz słowa przyznał, kochał lud, ale nie był wcale zwolennikiem przewrotu, drażnią go więc mowy i śpiewy, których bodaj raz na rok, w dniu 1 maja, musi z urzędu wysłuchać. Czyż nie dałoby się zrobić tak samo, jak w czasie procesyi Bożego Ciała, że pomnik obstawiono policyą i nie pozwolono nikomu przejść za łańcuch? Socyaliści mogą sobie urządzić na Rynku trybunę, okrytą choćby nawet czerwonem suknem i zaopatrzoną daszkiem, będzie to i efektowniej wyglądać i umożliwi nawet w czasie niepogody przemawianie do narodu.

Wracając jednak do dającej się nam we znaki posuchy i jej następstwa, tj. braku wody, zaznaczyć wypada, że dzięki zaprowadzonym w mieście oszczędnościom w pobieraniu życiodajnego nektaru, stan zapasów w zbiornikach jest dostateczny, a wielkie nadzieje poprawy stosunków budzi nowa pompa, wybróbowana niedawno, a mogąca dostarczyć 480.000 litrów na godzinę. Krakowianie odetchnęli, wyczytawszy w pismach codziennych tę wzmiankę, zapomnieli jednak, że choćby ustawiono i sto takich pomp, nic to nie pomoże, jeśli nie powiększy się ilości źródeł, czy studni i ich wydajności. Pompować można zawsze, chodzi tylko, aby było z czego!

Niechaj w boleści będzie osłodą przeświadczenie, że nie tylko Kraków ucznł brak wody, nawet i Lwów, który nigdy nie da mu się wyprzedzić, zaczął się o to samo dobijać. My do polewania ulic możemy przynajmniej użyć wody; z Wisły, Lwów tej sztuki nie dokaże, modra bowiem Pełtawa (nowe geograficzne odkrycie pewnego krakowskiego krytyka muzycznego) jest zanadto wonną, by z niej można czerpać i nie obfituje wcale we wilgotność.

Jedno mnie tylko cieszy, mianowicie, iż nie pomyliłem się, przepowiadając coraz większą drożyznę, gdyż rzeźnicy mięso już dwukrotnie podrożyli, a mam niepłonną nadzieję, że i piekarze pójdą wnet w ich ślady, jak mi to solennie jeden z nich wczoraj przy bombie przyobiecał. Dzięki brakowi wody podrożało i piwo o centa na szklance, a czem najlepiej wychodzą szynkarze, lód bowiem do wiadra piwa kosztuje ich dajmy na to koronę, a oni zbierają nadwyżki jeszcze około trzech koron, tłómaczą się jednak, że potrzebują pieniędzy na wodę, bo oni przecież sami piwa nie piją.

Podrożenie piwa i mięsa wpłynęło ujemnie na agitacyę przedwyborczą w gminach przyłączonych, która w chwili, gdy to piszę, doszła punktu kulminacyjnego. Ani nie przypuszczaliśmy, że nasze gminy sąsiednie mają tyle znakomitości, którym tylko dobro miasta leży na sercu, że możnaby niemi obsadzić nie tylko jedenaście foteli, ale nawet i dwieście. Ile stronnictw, tyle tuzinów kandydatów, a jeden lepszy od drugiego. Zacietrzewienie doszło do tego stadyum, że kandydaci plakatami ogłaszają swoje zasługi, jakie dla dobra gmin położyli, lub choćby położyć chcieli, nawiasem mówiąc, zasługi bardzo problematyczne, i grożą każdemu wyborcy karami piekielnemi, jeśliby mu nie oddał głosu. W poprzedniej kronice poruszyłem już nieco tę sprawę, dalszy ciąg muszę sobie zarezerwować na przyszły tydzień, gdy będzie już znany wynik wyborów, rozpisanych na dzień 15 i 16 czerwca, więc dla kronikarza niefortunny, *Nowości illustrowane* są już bowiem wtedy na prasie drukarskiej.

Nie wątpię, że zwycięży zdrowa myśl, a nie czcze obiecanki, choćby nawet poparte kiełbasą wyborczą; rozszerzoną Radę czeka ciężka praca, a do niej trzeba ludzi z mózgiem i ochotą do pracy, a nie lalek, którym chodzi o tytuł lub materyalne korzyści.

Zawadziwszy mimowoli o politykę, a któż się nią dziś nie zajmuje, muszę wspomnieć o dwu najważniejszych rozłamach, jakie zanotowaliśmy w obu najbardziej zwalczających się partyach, tj. narodowej demokracyi i ludowców. Wprawdzie obie burze w szklance wody już przycichły, warto jednak wspomnieć o nich, rezultat był bowiem zupełnie różny.

Rozłam w partyi endeków ujawnił się we Wiedniu, gdzie dotychczasowy prezes tej grupy, dr. German, złożył przewodnictwo, nie zgadzając się na radykalny kierunek, jaki zaczyna brać górę. Narzekano także, że lwowskie kierownictwo partyi terroryzuje swych wiedeńskich posłów, którzy nie godzą się na absolutne zwalczanie namiestnika Bobrzyńskiego. Tu zwyciężył kierunek radykalny.

Ludowcy natomiast, ugrupowani koło tak zwanej frondy, zarzucali swemu dyktatorowi, Stapińskiemu, iż jest za mało radykalny, jak na przedstawiciela partyi ludowej, że się zaprzedał Stańczykom, że stara się tylko o siebie i t. d. Na kongresie ludowców, odbytym w Tarnowie w dniu 12 czerwca, wytoczono ciężkie działa przeciw dotychczasowemu zarządowi, przekonano się jednak z głosowania, że Stapiński ma absolutną większość zwolenników, nie radykalna fronda, bo 1245 : 15. Dotychczasowy dyktator pozostał więc i nadal u steru partyi, która znowu nie chce zwalczać namiestnika, gdyż — jak się zgrabnie tłómaczy — nie wie, kto z czasem zająłby jego miejsce.

I w jednym i drugim wypadku walka toczy się o władzę, gdyż tak jedni, jak drudzy mają wiele nagromadzonej energii, którą radziby wyładować we Wiedniu na fotelach ministeryalnych. Przyznać należy, że narodowa demokracya ma jej daleko więcej i to rozdzielonej na mniejszą liczbę osobników, każdy więc z nich jest bardziej ruchliwy. Tem się też tłómaczy, że między endekami, przynajmniej co drugi czuje się odpowiednim na ministra, gdy tymczasem między ludowcami znajdziesz co najwyżej jednego na stu. I tem się też tłómaczy zwalczanie się gwałtowne obu stronnictw; jedno twierdzi, że ono powinno prym wodzić ze względu na liczbę zwolenników, drugie jest zdania, że ono, jako pepiniera mężów opatrznościowych, jest powołane do zbawienia społeczeństwa. Kłócą się więc i waśnią, a tymczasem trzeci z tego korzysta, a tym trzecim są na wschodzie Rusini, u nas socyaliści.

Podobno bratobójcza walka toczy się nad Pełtwią. (Niech mi Lwów wybaczy, że nie nazwę jej już modrą). Tu chodzi o rzecz daleko ważniejszą, bo o to, który tingel jest piękniejszy, lepszy i bardziej umoralniająco wpływa na rozwój duchowy narodu i bieg politycznych wypadków. Lwowianie stanęli do morderczej walki pod dwu sztandarami, wzniesionymi wysoko przez niektóre organa nadpełtwiańskiej prasy. Jedni przyjęli nazwisko Moszkowiczystów, drudzy zwą się Zehngucistami. Bomby lecą w powietrzu, ale przeważnie nie pękają, obie strony strzelają ślepymi nabojami, a najgorzej na tem wychodzi odnośna prasa, która nie robi tego bezinteresownie, a rzecz prosta i nie dla zasady.

I nam w Krakowie grozi rozdwojenie, a może nawet roztrojenie i to operetkowe. Odkąd zjechał do nas teatr lwowski, społeczeństwo rozdzieliło się na dwa wrogie sobie obozy i Miłowskistów i Szuppistów, a ponieważ od dawna posiadamy potężny zastęp Brzozowskistów, walka więc zdaje się być nieunikniona. Długo zastanawiałem się, do którego obozu mam się przyłączyć. Gdybym nie obawiał się zazdrości mej czcigodnej magnifiki, a jest ona podrażniona strasznie, przypomina bowiem tygrysicę, obudzoną z drzemki poobiedniej, byłbym stanowczo przywdział barwy Brzozowskistów, niestety dla spokoju domowego musiałem oświadczyć się za utworzeniem czwartego zastępu, tj. Zimajerzystów starszych.

Zapał, jaki ta walka obudzi, będzie w skutkach nieobliczalny, nie mamy bowiem jak wiadomo wody, a szczególniej słomiani wdowcy, których liczba coraz bardziej się powiększa, są nader palnym materyałem, więc straż ogniowa może mieć z nimi dużo kłopotu. To jedno pociesza, że żony, córki i teściowe, choć już wyjechały na świeże powietrze, lub lada chwila wyjadą, około 15 lipca powrócą znowu na kontrolę, z okazyi obchodu grunwaldzkiego, więc cnota małżonków nie będzie narażona na zbyt wielkie pokusy.

W gorszem położeniu jestem ja nieszczęśliwy, gdyż moja stara ani myśli o opuszczeniu Krakowa. Począłem bawić się w Sherlocka Holmesa, aby się przekonać, co mogłoby b, ć przyczyną i skonstatowałem, że bardzo chętnie i często uczęszcza do teatru ludowego w Parku Krakowskim, a potem śpi zwykle niespokojnie, przewraca się po łóżku i mówi przez sen. Pewnego wieczora, raczej nocy, poświęciłem się, aby zbadać dokładnie stan jej *psyche*, i ku niemałemu zdziwieniu usłyszałem tylko: Bończa!... Poleński!... Ach!... i cały szereg westchnień. Rozjaśniła mi się sytuacya, pokiwałem głową, a nie będąc wcale zazdrosnym, rzekłem do siebie: Ha! Cóż robić! Często i w starym piecu dyabeł pali! Jaka to jednak szkoda, że nie jestem zazdrosny?! Kolorem zazdrości jest pono żółty. Jakże pięknie odbijałby on od obecnej czarnej melancholii mojej połowicy i jak lojalną utworzylibyśmy parę, której po najdłuższem życiu, nawet *Czas* poświęciłby może wzmiankę!

Pomiędzy galicyjskiemi niewiastami zrobił się rumor nielada, gdy się dowiedziano, że w stryjskim powiecie obowiązuje i niewiasty powszechna służba wojskowa. Przyznać trzeba, że wiadomość ta wywołała w najszerszych kołach rodzaju żeńskiego uczucia wcale przyjemne, a z rozmaitych powiatów Galicyi nadchodzą już do Stryja prośby o przyznanie tamtejszej przynależności. O ile wiem, prawo to w innych powiatach dotąd nie obowiązuje, c. k. namiestnictwo będzie je jednak musiało, jak się zdaje, rozszerzyć i na inne części kraju, niewiasty czują bowiem zdawna wielką sympatyę do stanu wojskowego i oddają się bardzo chętnie pod dowództwo synów Marsa.

Rzecz tak się miała, że gdy jakowaś Paraska Papara z Uherska poprosiła o paszport, gdyż ma zamiar wyjechać z kraju, c. k. starostwo stryjskie oświadczyło jej rezolucyą do l. 24.969 (doskonała kombinacya na Linc! przyp. zecera), że odmawia jej prośbie, ponieważ już dziś należy do pospolitego ruszenia, a wkrótce otrzyma wezwanie do poboru.

— Kiej jo się wstydom! — miała na to odpowiedzieć Paraska, potem jednak zaczęła się zastanawiać, do jakiego gatunku broni ją przydzielą.

Ponieważ c. k. władze polityczne są nieomylne, przypuszczam, że istnieje przepis prawny, dozwalający w niektórych wypadkach na powoływanie kobiet pod broń, a w cichości się przyznam, że gdyby nie obawa przed żoną i chroniczny reumatyzm, natychmiast podałbym się na rotmistrza oddziału amazonek.

X.

Arcyksiążę Leopold Salvator w Stanisławowie.

We czwartek ubiegłego tygodnia bawił w Stanisławowie arcyksiążę Leopold Salvator, jeneralny inspektor artyleryi austryackiej. Arcyksiążę przybył do Stanisławowa we czwartek rano ze swym adjutantem. Na dworcu oczekiwała go delegacya przedstawicieli władz rządowych i autonomicznych, a więc: radca dworu Prokopczyc, generał Fische, generał v. Gemmingen, burmistrz miasta dr. Nimhin, radca rządu dr. Podlewski, zastępca dyrektora kolei i w. i.

Po spożyciu śniadania na dworcu kolejowym, udał się arcyksiążę konno na plac ćwiczeń wojskowych Dąbrowa, gdzie przeprowadził inspekcyę 31 pułku artyleryi polnej. W piątek i w sobotę odbywał arcyksiążę dalszą inspekcyę 31 i 33 pułku artyleryi. W piątek w południe udzielał audyencyi, popołudniu zaś wyjechał automobilem na ćwiczenia do Kałusza. O godz. 8 tegoż dnia odbyła się kolacya wspólna w hotelu Kesslera, na której byli obecni między innymi: arcyksiążę, generał Fische, generał v. Gemmingen i pułkownik Rozwadowski, szambelan cesarski.

W sobotę popołudniu odjechał arcyksiążę do Czerniowiec. Podczas całego swego pobytu mieszkał arcyksiążę w stanisławowskim hotelu L. Kesslera (Nowy Centralny), gdzie zajmował 3 frontowe pokoje na I. piętrze; tam też udzielał posłuchań. Straż honorową przed hotelem pełnił 58 pułk piechoty, a orkiestra tego pułku przygrywała podczas wszystkich obiadów i kolacyi.



Arcyksiążę Leopold Salvator w Stanisławowie: Arcyksiążę ze swym adjutantem przed hotelem Kesslera.

Międzynarodowe zawody w skakaniu.

Wiosenny okres sportowy wre w całej pełni. W każdem większem mieście rojno na torze wyścigowym, bo coraz bardziej zajmuje bubliczność ta szlachetna rozrywka, przypominająca choć w miniaturze rycerskie zabawy naszych przodków. Obecnie kończą się we Wiedniu popisy konne, które wypadły pod każdym względem impounująco.

Obok wyścigów obudziły wielkie zajęcie zawody jezdców w braniu przeszkód, i to tak na długość jak i na wysokość. Zainteresowanie się tą nową gałęzią sportu było tak ogólne, iż spodziewać się należy, że i w następnych latach nie zaniecha jej komitet, gdyż właśnie przy tego rodzaju popisach najlepiej poznaje się przymioty jeźdzca i zalety jego wierzchowca.

W czasie popisów dwór cesarski był bardzo licznie reprezentowany. Zjawili się arcyksiążęta: Karol Franciszek Józef Maksymilian, Franciszek Salvator, Karol Albrecht i Fryderyk, arcyksiężna z córkami, księżna Alicya Toskańska z córkami, księżna Marya Anna Parmeńska, książę Braganza, książę Leopold Koburski i wiele bardzo osób, należących do arystokracyi.

Program obejmował popisy w skakaniu na wysokość dla koni wszystkich krajów, dosiadanych przez swych właścicieli i także popisy w przesadzaniu rowów. Na każdej przeszkodzie ustawieni byli sędziowie, którzy z bliska mieli śledzić przebieg zawodów. W obu wypadkach zdobył pierwszą nagrodę obywatel ziemski z Królestwa Polskiego p. Tachowski, na swej klaczy „Mira", jedną w kwocie 3000 koron, drugą, ofiarowaną przez arcyksięcia Franciszka Salwatora, w wysokości 1000 koron. Sposób jeżdżenia i znakomita pielęgnacya wierzchowców naszego sportsmena zyskały sobie ogólne uznanie.

Illustracya nasza przedstawia szczęśliwego zwycięscę bezpośrednio po zawodach.



Dyrektor lwowskiego tramwaju: Józef Tomicki.
(Do art. na str. 13).

Znowu szpieg.

Jeżeli tak dalej pójdzie, jak dotychczas, to znaczny procent więźniów krajowego sądu karnego we Lwowie stanowić będą indywidua, trudniące się wstrętnem rzemiosłem szpiegostwa na rzecz obcego mocarstwa i trzeba będzie przeznaczyć dla tych spraw specyalnego sędziego śledczego. W tych dniach znowu powiększyła się liczba szpiegów w lwowskiem więzieniu. Sprowadzono Rękosiewiczównę z Krakowa i Włodzimierza Lisowskiego, którego podobiznę podajemy w niniejszym numerze. Lisowski jest Rusinem i należy podobno do partyi moskalofilskiej, z zawodu jest solicytatorem adwokackim w Cieszanowie. Aresztowano go w Ułazowie koło Cieszanowa i znaleziono przy nim w czasie rewizyi dowody szpiegostwa.



Arcyksiążę Leopold Salvator w Stanisławowie: Arcyksiążę w chwili odjazdu z dworca.



Arcyksiążę Leopold Salvator w Stanisławowie: Arcyksiążę z generałem Fische po opuszczeniu wagonu na dworcu kolejowym w Stanisławowie.

Nowa firma polska w Krakowie.

Z szczerem zadowoleniem witać należy każdą nową polską firmę, powstającą w mieście naszem, gdyż najwyższy czas, by społeczeństwo polskie zrozumiało, iż dobrobyt kraju zależy właśnie od rozwoju przemysłu i handlu polskiego.

Jedną z takich zasłużonych w kraju i cieszących się od dawna jak najlepszą opinią firm, jest magazyn maszyn do szycia, we Lwowie od lat prawie czterdziestu istniejący, Józefa Iwanickiego. Firma ta otworzyła przed paru dniami w nowym, pięknym lokalu hotelu Pollera filię swego składu na Kraków.

Sklep firmy J. Iwanickiego zaopatrzony jest w mnóstwo doskonałych maszyn do szycia i haftu, pochodzących z pierwszorzędnych fabryk austryackich oraz angielskich (marka „White“) i amerykańskich (marka „Davis“). Wśród maszyn tych wyróżniają się prócz niezrównanych maszyn do szycia, maszyny do haftowawania firanek, do cerowania i łatania worków, maszyny krawieckie, szewskie, rękawicznicze, kuśnierskie, rymarskie, kapelusznicze, pończosznicze i inne. Wszystkie zaś pierwszej jakości.

Obok sklepu znajduje się wzorowo urządzona pracownia mechaniczna, pod kierunkiem p. Fr. Radomskiego, byłego kierownika firmy „Singera“, który jako mechanik i specyalista w dziale maszyn do szycia, daje pełną rękojmię należytego prowadzenia tej pracowni.

W najbliższym czasie obejmie kierownictwo filii p. Józef Iwanicki, syn założyciela firmy, kończący obecnie fachowe studya za granicą.

Nowemu posterunkowi zasłużonej firmy składamy serdeczne życzenia „Szczęść Boże!“



Nowa firma polska w Krakowie: Wystawa i wejście do sklepu firmy Józef Iwanicki.



Znowu szpieg: Włodzimierz Lisowski.
(Do artykułu na str. 15).

Wspaniały magazyn konfekcyi damskiej.

Przed dwoma laty otwarty w nowej kamienicy obok kościoła Maryackiego magazyn konfekcyi damskiej, objął przed paru miesiącami młody przemysłowiec krakowski, znany już jednak zaszczytnie wśród tutejszej publiczności, p. Gabryel Grabowski i przy swej znanej energii oraz niezwykle szerokiem wykształceniu fachowem, zakład ten postawił na poziomie bardzo wysokim, prawdziwie europejskim.

Już wewnętrzne urządzenie całego magazynu, wzorowane na pierwszorzędnych przedsiębiorstwach tego rodzaju za granicą, ogromna moc gotowych kostyumów damskich, od skromnych do najwytworniejszych, a zawsze pełnych smaku prawdziwie artystycznego, czyni wrażenie jak najlepsze.

Istotnie też liczni odbiorcy magazynu p. Grabowskiego nie mają dość słów uznania zarówno dla doborowego towaru, w jaki się tam zaopatrzyć można, jak dla skrzętności, zapobiegliwości i usłużności i właściciela i personalu.

Dzięki tym warunkom firma p. Grabowskiego może bardzo śmiało konkurować z droższemi, a pod względem wartości stanowczo jej ustępującemi firmami zagranicznemi, w których dotąd, z żalem to stwierdzić należy, niektóre panie zaopatrują się w kostyumy. Spodziewać się można, że obecnie niesympatyczny ten zwyczaj ustanie i że panie z Krakowa i okolicy uznają wyższość tej polskiej firmy i ze względu na dobór towaru i ze względu na niższe ceny.

Magazyn p. Grabowskiego urządzony jest z wielkim komfortem, dotąd u nas prawie nieznanym. Prócz ogromnego, jasnego salonu sprzedaży, gdzie oko z zachwytem ogląda przepiękne toalety, jest tam mały ale z dużym smakiem urządzony pokoik, służący do mierzenia gotowych sukien.

Dotychczasowe powodzenie firmy p. Grabowskiego jest rękojmią i dalszych, nie mniej pomyślnych wyników, których szczerze jej życzymy.



Wspaniały magazyn konfekcyi damskiej: Widok magazynu od ulicy.



Wspaniały magazyn konfekcyi damskiej: Wnętrze salonu sprzedaży.



Wspaniały magazyn konfekcyi damskiej: Salon do przymierzania toalet

Z półek księgarskich.

Leon Wiesenberg. „Ojciec“ Sztuka w 4-aktach. Kraków 1910. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. Autor „Dwóch światów“ śmiałym rozmachem usiłuje rozwiązać sprawę żydowskich t. z. rytualnych małżeństw. Konflikty powstałe na tle rozterek małżeńskich, prowadzących do zerwania jednego a zawarcia drugiego związku, pociągają za sobą szereg zawikłań prawnych, które akcye przenoszą przed trybunał sądowy.

Jednak i tam sprawa się nie wyjaśnia, siła faktów opiera się żelaznym, bezdusznym paragrafom. Autor rozwiązuje kwestyę cięciem cesarskim — samobójstwem.

W obliczu śmierci milkną spory — bogaty fabrykant uznaje się ojcem nieswoich dzieci. — Niezwykły problem utworu żywo działa na czytelnika, a akcya sceniczna przeprowadzona konsekwentnie z pominięciem nieco nużącej rozprawy przed sądem rokuje, iż dzieło p. Wiesenberga stanie się pożytecznym nabytkiem naszej literatury dramatycznej.

S. K.



Międzynarodowe zawody w skakaniu: Zdobywca obu pierwszych nagród T. Tachowski z Królestwa polskiego.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 23.

Łamigłówka:

Mur
łza
raz
kry
ale
jak
ona
ton
owa
lep
nie
spl
cel
jąk
alt

Krzyż magiczny:

C m p
h o o
c h e r l a k
m o r f i n a
p o l i d o r
a n o
k a r

Szarada fantastyczna: Okolica

Arytmograf:

S ł o w a k
Ł a w i c a
O r a t o r
W i t o ł d
A n i o ł y
C a r m e n
K l a t k a
I z m a i ł

Szarada: Marzenia.

Rebus: Nie nowina, że teraz więcej popłaca miedziane czoło, niż serce ze złota.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, M. Planecka Kraków, F Gebhardt Kraków, K. Łopatyński Warszawa, J. Łopatkiewicz Sambor, M. Konińska Łódź, K. Kliszewski Warszawa, J. Rogoziński Lwów, W. Ogrodnicki Sanok, M. Lemiszewska Kołomyja, S. Radoszewski Rzeszów, M. Nawojska Przemyśl, K. Morgenstern Krosno, L. Zawadzki Lwów, M. Bidzińska Tarnopol, S. Rawski Kołomyja, J. Obst Jasło, K. Łapiński Radom, J. Wasilewski Sanok, B. Głogowski Wiedeń, K Sokołowski Jarosław, W. Häring Kołomyja, L. Lindenbaum Czerniowce, K. Czarkowski Ostrów, J. Gabryelski Janów, W. Takliński Sanok, Z. Gruber Sambor, K. Lipski Łódź, T Kuryłowicz Paryż, H. Cukrowicz Petersburg, W. Hański Jaworów, J. Łopata Cieszyn, B. Ortyński Kraków, M. Klappholz Kraków, W Link Sanok, R. Rzegociński Warszawa, Z. Pankiewicz Jasło, M. Taborska Radomyśl, C. Grochowski Kraków, J. Tabor Lwów, M. Celewicz Lwów, J. Sachamek Lwów, B. Tomaszewski Kołomyja, R. Grzymalski Tomaszów, W. Ostrowski Sandomierz, J. Boczarski Krosno, Z. Paliński Warszawa, K. Korta Sanok, W. Tomicki Petersburg, J. Kamiński Kraków, Z. Kondratowicz Łódź, M. Potocka Lwów, J. Lech Sanok, T. Rohn Piotrków, M. Więckowska Sandomierz, J. Sadowski Ławoczne, R Czeremeryński Lwów, A Karczmarski Sanok, B. Obmiński Bochnia, K. Kaim Kraków, M. Szumlakowski Lwów, M. Zabierzewska Kraków, K. Fuchs Czeremchów, J. Badura Rożdzień, L. Misiak Łuka wała, H Harasowska Lwów, J Menczak Radymno, W. Budzianowska Matyjowce, A. Bocsoń Bóbrka, W. Radwański Kraków, E. Bogdalska Koropuż, M. Turecka Tarnopol, M E Spett Jodłowa, M. Malinowska Oświęcim, W Krupski Zborów.

Nsgrodę przez losowanie otrzymał p. **A. Bocsoń, Bóbrka.** Upraszamy o nadesłanie 35. hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Nowe napisy.

Dziś, gdy na całym świecie dąży się do tego, aby ułatwić każdemu oryentowanie się w większych miastach i Kraków nie pozostał w tyle, ale postarał się o piękne tablice, które umieszczono w odpowiednich miejscach:

W podziemiach Sukiennic: Zanieczyszczanie tego miejsca pod karą zakazuje się.

W tramwaju: Czas to pieniądz! Jeśli ci się spieszy, idź piechotą.

Na mieszkaniach wyborców: Kandydatom i domokrążcom wstęp wzbroniony.

Na wodociągu: Woda szkodzi zdrowiu! Pij piwo lub wino, bo na Bielanach mało jest wody!

Na rogach ulic, nie mających porządnych chodników: Największym wynalazkiem XX. stulecia jest znakomity plaster na nagniotki.

U lekarza.

— Panie Pomeranz — mówi lekarz do swojego pacyenta — to jest bardzo poważna choroba! Pan musisz koniecznie wyjechać do kąpiel!..

— Ny! panie konsyliarze — odpowiada Pomeranz, drapiąc się w pejsy — wyjechacz do kąpielów, to ja mogę, tilko niech mnie pan tam nie każe sobi kąpacz!...

Nasze dzieci.

— Słuchaj Stefka — mówi mały Jaś do siostrzyczki — czy ty wiesz, że mama chce wziąć z tatusiem lozwód?...

— Głupiś! — odpowiada z dumą Stefcia — naturalnie, że wiem! Psecie to ja sama doladzilam mamie!...

Co komu na myśli.

Pani Adela czyta książkę, podczas gdy jej mąż studyuje swoje księgi handlowe. Naraz pani Adela zrywa się i mówi do męża:

— Słuchaj Fredku! czytam właśnie, że u dzikich wolno mężowi sprzedać żonę, jeśli mu się ona nie podoba!..

— Hm! piękny zwyczaj! — odpowiada mąż — a nie piszą tam, jak oni je sprzedają, *en gros*, czy też tak *en detail?...*

Chytry.

Sędzia: Niech mi świadek, Eulalia Patyczkowska powie, ile lat liczyła jej matka, gdy świadek ujrzał światło dzienne?

— Dwadzieścia!

— A ile teraz liczy matka świadka!

— Sześćdziesiąt dwa!

Sędzia (do protokolanta): Proszę pisać: świadek Eulalia Patyczkowska lat czterdzieści dwa!...

Podejrzane indywiduum.



W więzieniu lwowskiego sądu znajduje się pod zarzutem zbrodni gwałtu publicznego mężczyzna, którego identyczności osoby dotąd nie stwierdzono, a co do którego zachodzi podejrzenie, że dopuścił się kilku cięższych zbrodni. Liczy on lat około 25, wzrostu średniego, silnej budowy ciała, blondyn o małym wąsie, oczu niebieskich, twarzy podłużnej, mówi dobrze po polsku z akcentem mazurskim, a słabo po niemiecku i rosyjsku, ma bliznę na lewej stronie twarzy w okolicy szczęki dolnej, drugą na karku, a trzecią na górnej powierzchni dłoni prawej. Występował on pod fałszywemi nazwiskami Karola Chmielowskiego, Władysława Zielińskiego i Aftanasa Kołtuckiego, którego to ostatniego książeczką robotniczą się legitymował i pod którego nazwiskiem odpokutował karę ośmiomiesięcznego więzienia, nałożoną przez sąd obw. w Bunzlau (Prusy).

W dniu 25 marca br. został on w Żółkwi przez tamt. żandarmeryę przytrzymany i odstawiony do sądu, gdzie podał, że przyjechał wprost z Prus i szedł piechotą za robotą do Sokala, oraz że znalezioną przy nim książeczkę do modlenia, podpisem Jana Nowaka z Frydrychowic zaopatrzoną, dostał w podarunku od tegoż.

Wszelkie, zmierzające do skonstatowania identyczności osoby tego mężczyzny, wiadomości, należy podawać do Sądu krajow. karnego we Lwowie, Oddział XIV.

Podrzucone dzieci.

W dniu 16 lutego b. r. porzucono w poczekalni miejskiego biura ubogich przy ul. Poselskiej l. 9 na drugiem piętrze dwóch chłopców, niewiadomego nazwiska i pochodzenia.

Starszy z nich, liczący lat 6—8, wzrostu średniego, blondyn, o oczach niebieskich, z bielmem na źrenicy lewego oka, ubrany był w bluzkę niebieską w białe paski z kołnierzem marynarskim i w spodenki szare w kratkę, w czarne pończochy i buciki sznurowane podarte, oraz w czapkę z dnem niebieskiem, obwiedzioną imitacyą czarnego baranka.

Młodszy liczy 3—5 lat, szatyn, szczupły o oczach czarnych, z sińcem na prawym policzku, zbiedzony nadzwyczaj, ubrany był w białą sukienkę w pasy niebieskie i bluzkę z dziewczynki, koloru niebieskiego i czarnego, w kratkę, w pończochy czarne i buciki zapinane na guziki.



Podrzucone dzieci: Andrzej i Karol, niewiadomego nazwiska i pochodzenia chłopcy.

Ponieważ pomimo dłuższych badań i obserwacyi tychże chłopców, wobec ciągłej zmiany zeznań z ich strony, nie zdołano się od nich o ich pochodzeniu nic dowiedzieć, przeto magistrat uprasza każdego, ktoby posiadał jakie wiadomości o pochodzeniu tych dzieci i ich rodzicach, aby zgłosił się do VIa. Wydziału Magistratu ul. Poselska l. 9. II. piętro w godzinach urzędowych od 8—2 popołudniu.

Z półek księgarskich.

„Swaty“ obrazek ludowy w 1 akcie napisany przez Zofię Rzepecką. Lwów 1910. Nakładem Związku teatrów i chórów włościańskich. Wyszła w ozdobnem wydaniu książeczka pod powyższym tytułem. Dla scen włościańskich nabytek to bardzo pożądany, bo posiada on dużo scen, zręcznie ujętych z życia wiejskiego, interesującą akcyę, przeplataną sytuacyami poważnemi i zabawnemi, a nadto odznacza się czystym i kwiecistym językiem ludowym. Całość napisana jest zajmująco, posiada dużo życia, jest łatwą do wystawienia, nie wymaga wielkiej obsady ani nadzwyczajnych dekoracyi, jednem słowem zaleca się jak najsympatyczniej i daje uzasadnioną pewność, że „Swaty“ cieszyć się będą zasłużonem powodzeniem.

Do nabycia w Związku teatrów i chórów włościańskich, ul. Ossolińskich L. 12 III p.

Perfumy, mydła i pudry

krajowe, warszawskie, francuskie i angielskie.

Mydła Violettes de Nice „Nr. 810“ 1 karton 3 sztuk Kor. 1·50.

MYDŁA przetłuszczone Malinowskiego.

Przybory toaletowe!! Szczotki, Grzebienie, Lustra i inne przybory toaletowe.

Rurki do włosów

Maszynki spirytusowe

Gąbki toaletowe



Wanny i miednice gumowe.

Aparaty do upiększania twarzy

Schampo-Tarool do mycia głowy i przeciw łupieżowi.

Maszynki do masowania ciała.

Aparaty „Zaza“ do upiększania twarzy.

Reim i Ska, Kraków

Rynek 37, Linia A-B.

polecają najtaniej

KULE i KRĘGLE

z drzewa Lignum Sanctum



LAWN-TENNIS! RAKIETY, PIŁKI

Siatki

Piłki nożne

Huśtawki ogrodowe



Buciki do tennisu

Krokiety

Przyrządy gimnastyczne ogrodowe

Przybory do rybołowstwa.

Przyjmuje się rakiety do naprawy.

Podziękowanie

sławnemu eksportującemu przedsiębiorstwu

„Zoologicka Zahrada“, Praha, Bubenec (Czechy).

Dziękuję bardzo Wielmożnemu Panu

Dyrektorowi Juc. Karolowi L. KUKLOWI

za przysłanego psa **pointera angielskiego**, który **jest pod każdym względem bardzo dobry, dobrze wystawia i apportuje**, ma **łagodny wygląd** i **jest bardzo posłuszny.**

Wszystkim moim znajomym będę jak najlepiej **firmę Wielm. Pana polecał.**

Równocześnie zapytuję, czy może Pan Dyrektor dostarczyć zaraz dla mego szwagra psa **takiego jak mój**, a w oczekiwaniu łaskawej odpowiedzi kreślę się

z prawdziwem poważaniem

Dnia 13 czerwca 1910 r.

Baron L. Brunicki

Dubaniowice p. Rudki (Galicya).

Do wszystkich ziem polskich kilkaset bardzo ładnych, czystej rasy

Psów

tresowanych do obrony, stróżowania, do polowania

i do zabawy, oraz młodych szczeniąt wszystkich gatunków łostarczyłem teraz ku zupełnemu zadowoleniu i polecam z poręką na próbę:



Olbrzymie długowłose, białe, czerwono-plamiste **psy z góry św. Bernarda**, czarne **Nowofundlandzkie** i żółte jak lwy **Leonbergery (Berghunde)** młode po **70—95 kor.**, jednoroczne dobrze ćwiczone po **110—150 kor.**, największe olbrzymy po **180—320 kor.**

Za taką samą cenę dostarczam też krótkowłosych olbrzymich **niemieckich dogów, angielskich buldogów i boxerów dobermanów**, długowłosych ruskich, **syberyjskich chartów, Barsoje.** Wszystkie są w wieku ponad 1 rok, wyśmienicie wyćwiczone do stróżowania i obrony swego pana.

Psy **średnich gatunków**, jak śliczne **owczarki szkockie „Collie“**, niemieckie psy **„wilki“**, **pudle, szpice, foxterriery, jamniki, pincze** i t. p. ofiaruje młode po **50 kor.**, starsze od 1 rocznych po **80 kor.**, najlepsze, ćwiczone po **120—155 kor.**

Najmniejsze karliki do salonów, najładniejsze gatunki małe **ratlery, pinczerki** jedwabne, hiszpańskie, angielskie, japońskie, a **karliczki buldoczki** dostarczam młode po **70 kor.**, ponad rok wieku po **90—150 kor.**, a najładniejsze po **200 kor.**

Z psów do polowania

mogę natychmiast posłać **najlepszego psa legawca wyżła** bądź też **niemieckiego tygrysa krotkowłosego**, lub angielskiego krótkowłosego **pointra**, albo angielskiego długowłosego **settra** (Laweraka) wyśmienitego 2 letniego **apportera** na każdą leśną i wodną zwierzynę, bardzo dobrego psa na kuropatwy, zające i wszelkie ptactwo błotne ferm **haserein tresowanego**, bez błędów z ładną postawą za **120** do **260 kor.** młode **szczeniaki** 2—4 miesięczne za **45—85 kor.** Specyalisty! Ferm tresowane **Spaniely** a **Schweisshundy** i **brakyry** za **110—150 kor.** — Wszystkich tych psów dostarczam **z poręką za czystość rasy**, śliczne i zdrowe, na **14—30 dni na próbę, franko Praha**, jeżeli z tych którego zaraz kto zamówi, a nadeszle mi z góry telegraficznie **zadatek na młodego psa 45 kor.**, albo **dorosłego 75 kor.**, również za skrzynię i obrożę, na młodego **6 kor.**, na dorosłego **9 kor.**

Dyrektor eksportowego przedsiębiorstwa „Ogrodu Zoologicznego“ w Pradze

Juc. Karol L. Kukla.

„Zoologicka Zahrada“, Praha, Bubenec (Czechy).

Dzieła polecenia godne!

Mieroszewska: Kwiaty w pokoju ich wybór, sposób pielęgnowania opr. 2 kor.

Rymanowskiego: Wskazówki światowe (savoire-vive) oprawne kor. 1·60.

Powinszowania wierszem i prozą wiersze do imieninników.

Toasta weselne i przygodne. Cena 70 hal., w opr. 1 kor.

Za nadesłaniem powyższej kwoty za przekazem pocztowym, z dołączeniem 20 hal na frankaturę wysyła

KSIĘGARNIA NAKŁADOWA

Fabiana Himmelblaua w Krakowie

ul. św. Tomasza L. 16, (róg ul. Floryańskiej)



Kobieta

wieku dojrzałego będzie mieć cerę młodej panny, jeżeli użyje do swej toalety

KREMU, PUDRU i MYDŁA

firmy **J. Simon w Paryżu.**

Unikać naśladownictw.

Trudne wyjście.

— Pieniędzy wam nie dam, gdyż żebrakom z zasady tak nie dopomagam, ale mogę ci pomódz w znalezieniu pracy. Czem jesteś z zawodu?

— Grabarzem!

Nadzwyczajna sposobność KUPNA!

Objąłem wprost z fabryki po katastrofie ogniowej do sprzedaży dużo tysięcy

pięknych, ciężkich flanelowych koców

o wspaniałych nowych wzorach i pięknych barwach, obrębiane jedwabną satyną, całkiem świeże, bez skazy, nadając się dla każdego lepszego gospodarstwa domowego, do przykrycia łóżek i ludzi, w najlepszym gatunku, ciepłe i trwałe. Długość koca wynosi 180 cm., szerokość 130 cm.

Wysyłam za zaliczką:

3 sztuki	jedwabną satyną obrębianych za	K 10
4 „	nieobrębianych	„ 11
4 „	koców do gospodarstwa, żółtych albo w kraty	„ 12
4 „	koców flanelowych, białych w najlepsz. gatunku	„ 12
4 „	tygrysich, albo koców marynarskich	„ 9
2 „	koców watow., wielkich, wspan. połyskujące, jasno-niebiesk., albo ponsowych	„ 14
Bardzo piękn., rodzaj aksamitu koca do powozu lub podróży za sztukę		„ 12
Ciężkie dywany do salonów 10 mtr.		„ 10

Zapewniam każdego; kto w zaufaniu udzieli mi zamówienia, że zdziwi się pięknością i taniością towaru.

Adres: **R. Beker**, magazyn fabryczny i dom wysyłkowy **Solnitz** (Czechy).

KRAKOWSKA FABRYKA

SZCZOTEK i PENDZLI

ZWIERZYNIEC, przy KRAKOWIE.

Wyrabia wszelkiego rodzaju

szczotki i pendzle

Znak fabryczny.

Do Król.-Polskiego i Rosyi zamowienia przyjmuje.

Do Ameryki i Kanady

przeprawia najlepiej



Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka 99.

Cena przeprawy okrętem 180 Koron. — Uważajcie na Nr. 99.

Odjazd z portu **w Tryeście: Pannonia:** d. 21 czerwca 1910, **Ultonia:** d. 5 lipca 1910. **Carpathia:** 26 lipca 1910,

Z Liwerpolu: Lusitania: (największy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 18/6, 9/7, 6/8, 27/8, 17/9, 8/10, 5/11, 17/12 1910.

Maurytania: d. 2/7, 30/7, 20/8, 10/9, 1/10, 29/10, 19/11, 10/12 1910.

Uznane jako najlepsze

Specyalności gumowe!

Nowość! „OLLA“ z marką gwarancyjną! Wyrób najlepszy! Za tuzin Kor. 2·—, 3·—, 4·—, 5·—, 6·—.

Guma reform dla Panów: Za sztukę Kor. 2. Stała do użycia!

4 interesujące wzory za Kor. 1·— (w markach).

Broszura z illustr. cennikiem darmo.

W zamkniętej kopercie za przesłaniem marki 20 hal.

N. S. Herzog, Wien 17/3, Hernalserstrasse 79.



Skład płócien

Bielizny damskiej i dziecinnej, Bielizny stołowej.

Całe wyprawy ślubne poleca po cenach konkurencyjnych

MARYI PRAUSS

w Krakowie, Rynek gł. l. 7.

Zupełna wyprzedaż

z powodu burzenia domu przy ulicy Grodzkiej 58 u Emila Goldwassera w Krakowie.

poniżej cen własnego kosztu sprzedane zostaną:

Zegarki	Pierścionki	Papierośnice
Zegary pendułowe	Łańcuszki	Broszki
Budziki	Kolczyki	Branzoletki

i wszelkie wyroby złote i srebrne — oraz wyroby z chińskiego srebra.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

12

I filantrop podchodząc ze spokojną miną do swej siostrzenicy, zapytał:

— I cóż? Jak ci się wydaje?

— Wcale nie źle — odpowiedziała pani de Lagunan. — Lecz trwogą mnie przejmuje...

Wymawiając te słowa po cichu, tak aby tylko wuj je słyszał, jednocześnie uśmiechała się z zadowoleniem. Goście, którzyby wtedy na nią patrzyli, mogliby powiedzieć:

„Baronowa jest dzisiaj w świetnym humorze“.

— Trwogą przejmuje? — powtórzył Maksym Duret.

— Pomyśleć tylko, że za wspólnika mamy skazańca! Zastanów się!

— Cóż chcesz! — roześmiał się filantrop, by dodać otuchy siostrzenicy. Nie mogłem przecież zwrócić się o pomoc do jakiegoś starego kapitana, ozdobionego legią honorową i medalem wojskowym...

— Ach!... Drżę cała!...

— Dosyć już tego!

Maksym Duret znowu przybrał swój rozkazujący ton.

— Zabraniam ci drżeć... — mówił. — Słyszysz? Zabraniam ci... Opanuj się... Nie poddawaj się bezmyślnie wrażeniom, bo skończysz na tem, że stracisz zupełnie głowę... A ja chcę mieć do pomocy koło siebie ludzi spokojnych i stanowczych...

Panią de Lagunan zdawała się przenikać niezwykła energia, jaką wuj jej wkładał w swe słowa. Rzekła też z siłą:

— Będę spokojną i stanowczą...

— Musisz być nią zaraz!

— Jestem.

Czyniła takie wysiłki, iż końce paznokci wchodziły jej w skórę silnie zaciśniętych pięści. Nie przestawała zresztą uśmiechać się.

— Gdzie jest Maixent? — zapytał filantrop.

— Widziałam, jak wchodził do gabinetu wraz z Piotrem.

Miliarder kończył pierwszą partyę pokiera.

— Chce pan zająć me miejsce? — spytał wstając i ustępując go panu domu, który zatrzymał się właśnie przy jego krześle.

— Z przyjemnością.

I Raul de Lagunan siadł do gry. Amerykanin z bezceremonialnością, właściwą obywatelom Stanów Zjednoczonych, nachylił się do ucha Piotra i szepnął mu:

— Nie chcę, byś się kręcił po salonie, gdy przybędzie Karol Turner... Muszę rozmówić się spokojnie z nim i Duretem... Zabraniam ci więc ruszać się stąd, mój chłopcze... Rozkazem moim jest, byś grał...

Ton miliardera był czuły, brzmiała jednak w nim nuta nieugiętej woli. Piotr skinieniem głowy dał znak, że będzie posłuszny. Julian Maixent opuścił gabinet. Prawie w tej samej chwili Panajon wychodził z jadalnego pokoju. Obydwaj mężczyźni spotkali się pośrodku salonu. Mieli już się wyminąć, gdy podszedł do nich Maksym Duret i zatrzymał ich, mówiąc:

— Panowie pozwolą, że ich zapoznam z sobą... Pan Julian Maixent... Pan Karol Turner, przemysłowiec z Melbourne.

— Bardzo mi przyjemnie! — wymówili jednocześnie miliarder i mniemany Australczyk.

Z początku zamienili kilka banalnych zdań z Maksymem Duretem, który zwrócił zaraz rozmowę na przedmiot, interesujący ich wszystkich trzech.

— Mamy dzisiaj wieczorem między sobą i króla stu dwudziestu koni — rzekł.

— Piotra Cartelegue'a? — zapytał Panajon.

— Tak... Jest to jeden z naszych przyjaciół... Moja cioteczna wnuczka Kamilla odbyła z nim w ostatnich czasach kilka przepięknych spacerów samochodem... Ma się rozumieć nie byli oni sami — dodał filantrop z uśmiechem. — Towarzyszyła im nauczycielka, panna Dubois...

Panajon przy tem imieniu starał się zarumienić. Nie udało mu się to jednak. Zadowolił się więc lekkiem kaszlnięciem z pozornem zakłopotaniem.

— Ale a propos panny Dubois, nie widzę jej tu wcale? — zauważył Julian Maixent.

— Och! Minęło już przeszło dwa tygodnie, jak siostrzenica moja musiała jej podziękować! — odrzekł prezes.

Fałszywy Karol Turner zrobił zażenowaną minę.

— Doprawdy? — ciągnął dalej Amerykanin.— Uważałem ją za bardzo wykształconą!

— Nie wykształcenie też jej pozostawiało wiele do życzenia — odparł Maksym Duret. — Chodziło o jej postępowanie...

— Ach! ach! Zbytek piękności nieraz szkodzi! — odezwał się miliarder.

— Uznawał pan za piękną tę młodą pannę? — zdziwił się prezes. — Mnie się wydawała przedewszystkiem ordynarną...

Panajon udał, że się zapomina.

— Ordynarną? — zawołał z oburzeniem.

— Pan ją znał? — zapytał Julian Maixent.

— Ja? — rzekł złodziej, starając się okazać wielkie zmieszanie. — Właściwie mówiąc... Widziałem tylko raz w lasku Bulońskim pannę de Lagunan w towarzystwie jakiejś osoby, skromnie ubranej... pomyślałem wówczas, że zapewne jest to jej nauczycielka...

Robił minę, że się wikła, że nie wie, jak się z tego wykręcić... Wreszcie z pozornem zakłopotaniem przerwał rozmowę:

— Co za gorąco! Jakież straszne mam pragnienie! Panowie wybaczą mi, że pójdę je ugasić...

I podał rękę Julianowi Maixentowi. Amerykanin oddał mu potężne shakehand i zatrzymując go na chwilę, dodał:

— Spodziewam się, panie Turner, że nasza znajomość na tem się nie skończy...

— Bardzo mi będzie miło... I ja sądzę, że nie...

— Pan długo zabawi w Paryżu?

— Nie wiem jeszcze sam... Od dość dawna jednak już tu przebywam...

— Gdzie pan mieszka?

— W Tuileries-Palace... Lecz jutro przenoszę się na ulicę Boissy-d'Anglai nr. 36... Do widzenia...

I Panajon skierował się do sali jadalnej, podczas gdy Maksym Duret mówił do Amerykanina:

— I cóż! Jak to przewidywałem i jak to mu nakazywał obowiązek światowego człowieka, nie chciał nic powiedzieć... Zakłopotanie jednak, jakie okazał, może nam starczyć na wyznanie... Muszę poinformować siostrzenicę o tem pierwszem spotkaniu... Opuszczam pana... Niebawem odszukam pana znowu...

— Proszę bardzo!

Julian Maixent siadł na uboczu i pogrążył się w rozmyślaniu. Zachowanie się Australczyka nie odpowiadało jego oczekiwaniu. Jak mówił prezes, równało się to prawie formalnemu wyznaniu.

„Czyżbym się mylił?... — myślał miliarder. — Czyżby Ludwika Dubois rzeczywiście utrzymywała występne stosunki z tym człowiekiem?... Zdradliwy spisek ukuty przeciw niej, czyżby istniał tylko w mej wyobraźni?... I w takim razie byłoby to samo i z podstępem przeciw Magdalenie?...“

Zmarszczone i ostre rysy businessmana zdradzały natężenie myśli, postanowienie niezłomne dotarcia aż do gruntu tej sprawy.

— Nie! — szepnął do siebie po chwili. — Nie mogłem się omylić... Prezes i baronowa są najprawdopodobniej dwoma zwykłymi moralnymi opryszkami... A Karol Turner wraz ze swemi minami i udawaniami, odgrywa tylko rolę, jaką mu podyktowali... Tak... Kompromituje Ludwikę Dubois, by ich ocalić...

Miliarder więc dzięki swej niezwykłej inteligencyi odgadywał prawie całą intrygę. Sądził tylko, że ma do czynienia z prawdziwym Karolem Turnerem. Na błędną drogę wprowadziła go ta zuchwała śmiałość Maksyma Dureta. Nie mógł dopuścić tej myśli, by prezes podszył pod nazwisko wielkiego przemysłowca cudzoziemskiego, najprostszego złoczyńcę paryskiego.

— Lecz — ciągnął dalej — dlaczego ten Karol Turner oddaje im tak wstrętną usługę?... Jakimi więzami go skrępowali, iż tak ugina się pod ich wolą?... Ach! nie jedną jeszcze rzecz będę musiał wyświetlić, zanim stwierdzę niezbicie ich winę i będę się mógł z nimi rozprawić...

Julian Maixent rozmyślał właśnie o tem wszystkiem, gdy nagle z gabinetu, zamienionego na salon gry, doleciały go odgłosy jakiejś bójki i przewracanych krzeseł.

IX.

Opuszczając Maksyma Dureta i Juliana Maixenta, fałszywy Australczyk skierował się z powrotem do bufetu, lecz po chwili udał się do grających. Raul de Lagunan, Piotr, inżynier i pan Radoux siedzieli przy stole gry.

Panajon stanął koło nich.

„Do dyabła! — pomyślał baron, przypatrując się złodziejowi i królowi stu dwudziestu koni. Ciekawym, jakieby też nastraszone miny zrobili, gdyby się znali!“ Wiedział, że Karol Turner jest rywalem Piotra, lecz na tem tylko ograniczały się jego wiadomości o dramacie, w którym główną rolę odgrywała pani de Lagunan. Nie rozumiał też, dlaczego baronowa dopuściła się takiej nieroztropności i zaprosiła jednocześnie obu tych ludzi. Partya tymczasem kończyła się. Maurycy de Terrade pragnął powrócić do salonu, by słyszeć i widzieć Kamillę.

— Kto chce zająć me miejsce? — rzekł, powstając.

— Ja! — odezwał się Panajon.

I biorąc krzesło inżyniera, siadł z lewej strony koło barona. Pan domu z powyższych pobudek nie uznał za roztropne przedstawiać nowego gracza swym partnerom.

— Dobrze pan gra? — zapytał go, by powiedzieć cośkolwiek.

— Dość dobrze... — odparł Panajon.

— Grając w pokera, jak zresztą i w większość innych gier — odezwał się sentencjonalnie pan Radoux — trzeba mieć przedewszystkiem pewność siebie i wierzyć w swe szczęście.

„I umieć dorzucić w właściwej chwili potrzebną kartę“ — pomyślał złodziej, który pod tym względem mógł zakasować niejednego prestidigitatora.

Uwagę tę jednak zachował dla siebie, głośno zaś dodał:

— Tak, wiele pewności siebie, a także i dobrą pamięć, nie mówiąc już o inteligencyi... Dobrze grać w karty jest to zadanie dość trudne... a nawet męczące... Wstrzymuję się też od niego w czasie gorąca...

— Naprawdę? — zapytał Radoux.

Piotr pochmurny i zamyślony siedział w milczeniu, czekając, aż zacznie się nowa partya. Baron zaś zwrócił na Australczyka swą ceglastą, spaloną na odkrytem powietrzu twarz i spoglądał na niego z poza monokla swem niebieskiem okiem. Gość ten wydawał mu się oryginalnym.

— Tak — mówił dalej złodziej — ulubioną też moją grą jest następująca... Przekonają się zaraz panowie, że nie wymaga ona ani wielkiego wysiłku

inteligencyi, ani sił fizycznych... a na to trzeba przedewszystkiem zwracać uwagę w styczniu...

— Powiedział pan, że grywa w tę grę, gdy jest gorąco... — zauważył baron.

— Istotnie!

— A przecież w styczniu jest zimno!

— W pańskim kraju! W moim, nie!

— Jakto? W pańskim, nie?

— Jestem Australczykiem.

Piotr uczuł, jak krew mu uderza do głowy. A więc ten siedzący wprost niego jegomość jest Karolem Turnerem. Baron, który nie miał zbyt lotnego umysłu i był przejęty odpowiedziami mniemanego przemysłowca, nie zauważył, iż ten swemi słowami zdradził się przed Cartelegue, kim jest.

— Wiem o tem, że pan jest Australczykiem! — odparł. — Lecz cóż z tego?

— Ponieważ Australia znajduje się na południowej półkuli, u nas smażą się na słońcu, gdy we Francyi na północnej półkuli marzną z zimna...

— Ach! tak... tak... Rzeczywiście! — potwierdził baron, zakręcając wąsa.

Wiedział on ogólnikowo, że pory roku nie są jednakowe w jednym czasie na całym globie ziemskim, nie był jednak zbyt pewny swych wiadomości kosmograficznych.

„Mniejsza z tem — pomyślał. — W każdym razie to ciekawe, futro kłaść 14 lipca na święto narodowe, a kapelusz panama na Boże Narodzenie! Co za kraj!"

Z tego też względu, że Karol Turner pochodził właśnie z tego kraju, zaczął spoglądać na niego z większem zainteresowaniem.

Raul de Lagunan hołdował kultowi oryginalności. Myślał ciągle nad tem, coby uczynić niezwykłego. Niestety, brakowało mu wyobraźni. Zazdrościł swoim przyjaciołom, którzy szczodrzej byli obdarzeni przez naturę i mogli zadziwiać swych znajomych. Z tymi właśnie przyjaciółmi założył przy bulwarze Kapucyńskim klub, który w ich mniemaniu miał być świątynią ekscentryczności. Gdy zaczęły się narady nad wyszukaniem nazwy klubu, długo wahano się między „latarnikami" a „kalafiorami", w końcu jednak po długich debatach zgodzono się na „neurasteników". I „neurastenicy" dzięki egzotyczności swych fantazyi, stali się wkrótce sławnymi.

„Tak, tak! — powtarzał sobie baron, nie przestając przyglądać się przez monokl Karolowi Turnerowi. — Niech mówi, co kto chce, lecz to jest oryginalne, by się po zimowemu ubierać w kanikułę, a po letniemu na nowy rok. Wszyscy mieszkańcy tamtego kraju winni być członkami korespondentami naszego klubu".

— Lecz na czem ta gra polega? — pytał pan Radoux.

— Siada pan naprzeciw swego partnera przy stole — tłómaczył Panajon — mając przed sobą rozłożony banknot... I czeka pan, aż mucha usiądzie na pańskim banknocie, lub też pańskiego towarzysza... Właściciel banknota, na którym siadła mucha wygrywa stawkę swego partnera... Oto i cała gra!

— Nie bardzo skomplikowana! — rzekł notaryusz.

— Nie bardzo skomplikowana, ale za to niezwykle oryginalna! — zawołał entuzyastycznie Raul de Lagunan.

— Można, ma się rozumieć, położyć całą paczkę banknotów zamiast jednego — ciągnął dalej Panajon. — Zapewniam pana, że gdy podczas upałów jest wiele much, gra odbywa się nadzwyczaj szybko... W pewien gorący, burzliwy dzień przegrałem w klubie w Melbounie w ten sposób trzy tysiące funtów szterlingów.

— Ile to wynosi? — zapytał baron, który wiedział, jaka jest wartość jednego funta szterlingów, lecz nie potrafił liczyć w pamięci.

— Siedmdziesiąt pięć tysięcy franków — odpowiedział Panajon.

— A jaką sumę kładli panowie przed sobą? — zapytał notaryusz.

— Każdy po dwieście funtów.

— Do dyabła!

— Szykowna gra!

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył A. i M. K. Kraków.

Początkowe litery należycie utworzonych wyrazów, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko znanego polskiego autora dramatycznego i powieściopisarza.

□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Siedziba papieża. 2. Miejscowość, słynna igrzyskami. 3. Żołnierz turecki. 4. Mowca rzymski. 5. Utwór Homera. 6. Kraj nadbałtycki. 7. Olbrzymi jednoocy. 8. Zdrobniałe imię żeńskie. 9. Miasto we Włoszech. 10. Słynny śpiewak grecki. 11. Jedna z Meduz. 12. Jezioro w Afryce. 13. Wyspa na morzu Śródziemnem. 14. Rodzaj ryb. 15. Dawne państwo azyatyckie. 16. Rzeka w Rosyi. 17. Kapłanka rzymska. 18. Inaczej wodospad. 19. Utwór Krasińskiego.

Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Kraków.

O cztery zgłoski! Niegdyś takie sławne,
Na wschodnich krańcach lechickiej ojczyzny,
Dziś wspominacie tylko dzieje dawne
I step w krew ludzką, obfity i żyzny!

W tych przeszłych czasach, owe *trzy ostatnie*
Żyły w bogactwie, wolności, swobodzie,
Jakkolwiek często były wojny bratnie
Choć marnowano swe siły w niezgodzie!

Dzisiaj tam smutno... Minął czas wesoły
W pamięci żyje tylko wspomnień karta,
Dziś z dawnej sławy zgliszcza i popioły
Dziś *środek drugiej, pierwsza, trzecia, czwarta*:

Kwadrat magiczny.

Ułożył E. Jezierski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Litery umieszczone w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół i w piątym rzędzie poziomym, utworzą nazwę popularnego dziś przyrządu muzycznego.

□ — — — — — — —
— □ — — — — — —
— — □ — — — — —
— — — □ — — — —
□ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — □ — —
— — — — — — □ —
— — — — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Biskupia laska. 2. Miasto w Królestwie Polskiem. 3. Bohater jednej z senzacyjnych powieści z życia dworu niemieckiego. 4. Inaczej skłonny do miłości 5. Szukany wyraz. 6. Instrument do oddawania głosu. 7. Przyrząd służący do czyszczenia miasta. 8. Imię męskie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Foltman, Borysław.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:
anioł, e, kawa, d, kot, m, pies, p, komik, d, piwo, d.

Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Kraków.

Pierwsza i trzecia z wodą zawsze bieży,
Rozbija wszystko, w co tylko uderzy,
Druga i pierwsza jest to sprzęt domowy,
Którym nie gardzi ni chory, ni zdrowy.
Całość zaś rośnie w warzywnym ogrodzie —
Zwykła to żywność w wieśniaczej zagrodzie.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Janiny Peteńskiej*: **Na falach życia.**

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński Za Redakcyę odpowiedzialny: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.